



Oskar Vogt (1901 – 1945)

Leśniczy OSKAR VOGT

(1901-1945)¹



skar Vogt², mój ojciec, był leśniczym w państwowym Leśnictwie Wydry w latach od 1927 do 1944 roku. Zabranym przez władze niemieckie w Wejherowie w lutym 1945 roku, zaginął bez wieści.

Urodził się 23 grudnia 1901 roku w Noworadomsku (dziś: Radomsko) woj. łódzkie jako czwarte, najmłodsze dziecko leśniczego Maksa Vogta i jego żony Emilii z domu Loeffler. Ród Vogtów powoływał się na wieloletnią tradycję w zawodzie leśnika. Wywodził się z krainy Vogtland, położonej w Górnej Saksonii³. Vogtowie byli Niemcami. Legenda rodzinna głosi, że dziadek Oskara był w latach 1850-1870 leśniczym w Szklarskiej Porębie (Oberrscheibenhau) z siedzibą w leśniczówce o nazwie „Zum Hochstein”, położonej przy drodze na górę Wysoki Kamień. Leśniczówki tej dziś już nie ma.

Dopiero mój dziadek Maks spolszczył się, gdy w wędrownie za pracą dotarł na ziemię rdzennie polskie i ożenił się z wcześniej już spolszczoną Emilią, też przecież o obcym nazwisku rodowym. Ich dzieci zostały już wychowane i wykształcone w języku polskim. Karol, starszy o dziesięć lat brat Oskara, zabrany został w czasie I wojny światowej do wojska rosyjskiego, gdzie zginął w rozruchach 1917 roku. Siostry Oskara Zofia (ur. 1895) i Aleksandra (ur. 1898), wyszły za mąż i żyły w Polsce. Zmarły w Wołominie pod Warszawą w latach 60. ubiegłego wieku.

Wiedza Oskara o leśnictwie w znacznej części pochodziła z podpatrywania pracy jego ojca. Nie wiem, co porabiał we wczesnym dzieciństwie, ale zapewne zahaczył o jakąś szkołę podstawową zarówno niemiecką, jak i rosyjską, bowiem porozumiewał się i umiał czytać w obu tych językach. Korzystał później z książek fachowych w tych językach, które miał w swojej, rodzinnie zgromadzonej bibliotece.

DROGA DO WYDER

Z zachowanych dokumentów Oskara Vogta wynika, że na złożoną przez siebie prośbę został przez Dyрекcję Lasów Państwowych w Bydgoszczy przyjęty i skierowany do odbycia praktyki od 1 października 1921 roku w państwowym Nadleśnictwie Bydgoszcz. W innym dokumencie napisano później, że „pełnił służbę” w tym okresie w leśnictwach Biedaczkówka i w Żorkowie, z dobrą opinią i oceną kwalifikacji. Jako szeregowiec ukończył 15 grudnia 1922 roku czteromiesięczny kurs Szkoły Podoficerów Gospodarczych Okręgu Korpusu Nr III w Grodnie „z postępem bardzo dobrym”. W kolejnym dokumencie pisanym odręcznie



Oskar Vogt (stoi trzeci od lewej) ukończył w 1922 roku Kurs Szkoły Podoficerów w Wojsku Polskim z postępem bardzo dobrym. Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta

z 25 stycznia 1923 nadleśniczy Nadleśnictwa Bydgoszcz prosi Dyрекcję Lasów Państwowych w Bydgoszczy o przyjęcie powracającego z wojska Oskara Vogta nadal w charakterze praktykanta leśnego i skierowanie go do Nadleśnictwa Bydgoszcz, w związku z przyłączeniem do tegoż „Rewiru Zamość, który pozostaje bez jakiejkolwiek ochrony”.

Pismem z 27 października 1923 roku Dyrekcja Lasów Państwowych w Bydgoszczy zawiadamia Oskara Vogta o przyjęciu go na jednoroczny kurs w szkole dla leśniczych państwowych w Margoninie z dniem 5 listopada 1923. W piśmie tym „zwraca się uwagę, że w bieżącym roku szkolnym... uczniowie będą musieli utrzymać się w szkole na własny koszt”. 27 sierpnia 1924 roku. Oskar Vogt otrzymuje świadectwo, że ukończył jedenastomiesięczny kurs Szkoły dla Leśniczych w Margoninie „z postępem dobrym i odbył przepisana jednoroczną praktykę leśną w Nadleśnictwie Bydgoszcz”. W nawiązaniu do tego, 3 września 1924. Oskar Vogt został przyjęty „natychmiast do eksploatacji Lasów Państwowych Nadleśnictwa Bydgoszcz... z uposażeniem XII gr.” na stanowisku pomocnika leśniczego. A po dwóch latach pracy dyrektor Lasów Państwowych w Bydgoszczy przenosi Oskara Vogta „z urzędu z leśnictwa Smolarnia do leśnictwa Wydry w Państwowym Nadleśnictwie Szarłata z zachowaniem dotychczasowego charakteru służbowego i uposażenia... (gwarantując, że) Należne koszty przeniesienia zostaną zwrócone...”. W czerwcu 1927 roku Oskar Vogt złożył egzamin dla leśniczych państwowych z wynikiem ogólnym dobrym, w następstwie czego 28 listopada 1928 dyrektor DLP w Bydgoszczy mianuje go leśniczym Leśnictwa Wydry w Państwowym Nadleśnictwie Szarłata.

Na pierwszym spotkaniu z nadleśniczym w Szarłacie, na początku stycznia 1927 roku, Oskar Vogt otrzymał z nadleśnictwa mapę lasu, klucze do zabudowań leśniczówki oraz wykaz co pilniejszych zadań i wyruszył do Wyder. Zabudowania puste, bez podstawowych sprzętów wyposażenia domowego i gospodarczego, bez niezbędnych zapasów opału, zboża i siana, nie nadawały się do natychmiastowego zamieszkania w warunkach zimowych. Z tym trzeba było zaczekać do wiosny. Na razie wynajął sobie pokój w murowanym budynku jednego z najbogatszych gospodarzy w sąsiedniej wsi Wałkowiska i zabrał się do pracy w lesie.

ZIELONE KRÓLESTWO OSKARA

Lasy leśnictwa Wydry rozciągają się na południowo-wschodnim skraju Borów Tucholskich. Rozłożone malowniczo na obszarze około 2 300 ha falistego płaskowyżu, otoczone były wówczas od południa glebami uprawnymi majątku Sławie (dziś całkowicie zalesionymi), od zachodu ziemiami majątku Sierosław, a od północnego-zachodu przechodziły w lasy leśnictwa Skrzyniska, przemianowanego dziś na leśnictwo Zalesie. Granicę wschodnią leśnictwa Wydry wyznaczała szeroka na 4-5 m rzeka Wda (Czarna Woda), płynąca tu wartkim



Uczniowie Państwowej Szkoły dla Leśniczych w Margoninie w latach 1923-1924 roku. Oskar Vogt stoi siódmy od lewej (wysoki).
Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta

strumieniem wyżłobioną przez siebie od tysięcy lat, wgłębianą na 30-40 m poniżej wspomnianego płaskowyżu doliną, rozległą przeciętnie na 100-150 m. Krajobraz obszaru leśnictwa urozmaicają ukryte głęboko w lesie trzy morenowe jeziora śródleśne, odsyłające nadmiary swych wód uroczą szumiącymi, płytkimi lecz wartkimi strumykami leśnymi do rzeki Wdy.

Po lewym brzegu rzeki Wdy rozciągały się lasy Nadleśnictwa Osie. Obszar leśnictwa Wydry pokryty był głównie lasem sosnowym o dużej różnorodności wiekowej, stosownej do systematycznie prowadzonych wyrębów i zalesień. Szczególnie malownicze były znaczne obszary porostu starych, blisko dwustuletnich sosn. Rosły one w kilkunastometrowych odstępach, wypełnionych obfitym poszyciem z jałowców, leszczyn, jarzębiny i różnych innych krzewów liściastych. Były to zawsze dzikie samosiejki. W podłożu tych widnych, słonecznych oddziałów lasu obficie rosły mchy i wrzosi, kwitły przylaszczki, konwalie i wielobarwne dzikie łąbiny oraz rosły i obficie owocowały czarne jagody, poziomki, maliny, jeżyny oraz różne grzyby, zwłaszcza prawdziwki i kurki, rzadziej kozaki. Były to najbogatsze kwartały lasu i dla ludzi, i dla zwierząt. Lasy sosnowe z młodszych zasadzeń rosły gęściej, stosownie do wieku i miały podłoże i poszycie odpowiednio mniej prześwietlone i obfite. Obok lasów sosnowych w leśnictwie Wydry rosły w zwartych oddziałach kilkudziesięcioletnie dęby i świerki. Brzozy, osiki, akacje, lipy, modrzewie, daglezie i buki rosły w rozproszonym i raczej w przypadkowych miejscach. Nad brzegami jezior i rzek porastały obficie olchy, a blisko z nimi sąsiadowały graby.

LEŚNICZÓWKA WYDRY

Leśniczówka Wydry i jej obiekty gospodarcze pobudowane zostały pod lasem na rozległej polanie, położonej w dolinie w zakolu rzeki Wdy, obok wsi Wałkowska. Najbliższe zabudowania wsi widać było z leśniczówki na wzgórzu za rzeką Wdą, w odległości około 800 m. Murowany dom mieszkalny leśniczówki, postawiony był na wysokim fundamencie z dużych głazów granitu łupanego, podpiwniczony, miał wysoki stromy dach, kryty ciemnoczerwoną cementową dachówką.

Z szerokiego, siedmiometrowego podjazdu od bramy, pięć kamiennych schodów wiodło na niewielki ganek z dwoma ławeczkami po bokach, a stąd grube, dębowe drzwi wprowadzały do dużej sieni. Drzwi wewnętrzne z sieni prowadziły wprost do kancelarii leśniczego, do kuchni, do największego pokoju gościnnego oraz na ukryte w ścianie schody do piwnicy i na piętro. Pozostałe pomieszczenia parteru: dwa dalsze pokoje mieszkalne oraz pokój gospodarczy (łazienka, spiżarnia), rozmieszczone były w amfiladzie, z wejściem przez kuchnię lub pokój gościnny. Drzwi wejściowe do budynku zrobione były z drewna dębowego i zamykane na ciężki, mosiężny klucz. Wszystkie okna parteru zabezpieczone były solidnymi okiennicami, zamykanymi od wewnątrz. Była to mała, podleśna forteca.



Założa Nadleśnictwa Szarłata w Borach Tucholskich w 1931 roku. Siedzą od lewej leśniczowie: Teofil Warczak, Kazimierz Buszek, nadleśniczy Bolesław Osiński, sekretarz Jan Madaler, leśniczy Oktawiusz Czajkowski. Stoją od lewej kasjer Leon Chylewski i leśniczowie: Bolesław Łangowski, Oskar Vogt, Roman Żurawka, Władysław Lubik. Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta



Leśniczowie z terenu Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu uczestniczący w szkoleniu Przystosobienia Wojskowego Leśników na terenie koszarów woskowych na Pomorzu, około 1938 roku. Leśniczy Oskar Vogt stoi piątą w pierwszym rzędzie pośrodku (ciemniejszy mundur). Członkowie od lewej siedzący dyrektor z Torunia Władysław Chwalibogowski. Fot. archiwum Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu

W kancelarii leśniczego wisiał na ścianie telefon. Była to zgrabnie wymodelowana, elegancko fornierowana skrzynia drewniana wysoka około 50 cm, szeroka 30 cm i tyleż głęboka. Na jej froncie w górnej części umieszczony był dzwonek oraz pantograf podtrzymujący mikrofon, który można było przesuwąć w górę lub w dół, stosownie do wzrostu rozmówcy. Z boku skrzyni wystawała korbka oraz ruchome widełki, na których zawieszona była słuchawka. Wnętrze skrzyni wypełniały techniczne zespoły telefonu, a w dolnej części dwa szklane akumulatory. Podniesienie słuchawki telefonu z widełek i zakręcenie korbką, wywoływało łączniczkę w centrali telefonicznej w Osiu, która łączyła rozmówcę z żądanym numerem. Odwieszenie słuchawki i zakręcenie korbką po rozmowie, sygnalizowało centrali zakończenie rozmowy. A donośny głos dzwonka telefonu słychać było w całym domu, bez względu na pozamykane drzwi. To był dopiero zabytek! Pochodził zapewne z lat przed I wojną światową. Działał sprawnie jeszcze w 1944 roku. Nie sądzę jednak, by ktoś zachował go jako pamiątkę. A napowietrzna linia telefoniczna biegła od majątku Spławie, przez las.

Na piętrze budynku był jeden pokój mieszkalny z dwoma oknami, wychodzącymi na rzekę i widoczne za nią na wzgórzu zabudowania wsi Wałkowiska. Boczne drzwi z tego pokoju wiodły do przyległego magazynku na poddaszu. Obok schodów mieściła się pojemna wędzarnia mięs. Pozostała powierzchnia piętra oświetlona tylko jednym oknem, wychodzącym nad gankiem na podwórkę i las, mogła być dowolnie wykorzystana. W kilka lat później Oskar dobudował tu jeszcze jeden pokój, bez pieca, dla przyjmowanych czasami latem gości. Na poziomie drugiego piętra, na poddaszu, znajdował się spichlerz na ziarno zbóż. Wszystkie pomieszczenia mieszkalne budynku ogrzewane były piecami kaflowymi, opalanymi drewnem. Również duża płyta kuchenna, wówczas jeszcze nawet bez fajerek, opalana była drewnem. O ile pamiętam, to deputat leśniczego w roku 1938 wynosił 14 m przestrzennych drewna opałowego w roku, co na ogół wystarczało na pokrycie potrzeb ogrzewania mieszkania i gotowania pokarmu dla mieszkańców i inwentarza w gospodarstwie.

Przed domem rozciągało się podwórkę z bramą i podjazdem pod schody ganku, a przed nim spory ogród warzywny. W kącie podwórka, przylegającego tu do sąsiedniego podwórza zabudowań gospodarczych, umieszczona była studnia wyposażona w ręczną pompę. Było to jedyne źródło wody dla celów domowych i gospodarczych, nie licząc rzeki i strumyka na pobliskiej łące. Podręczną rezerwę wody w kuchni mieściła trzystulitrowa beczka, dopełniana w miarę potrzeby wodą, donoszoną wiadrami z pompy.

Od pozostałych trzech stron dom otoczony był trawnikiem, z rzadka obsadzonym wysokimi drzewami owocowymi. Przy lewym tylnym rogu budynku rósł 30-letni wówczas cis, a obok niego duże krzewy bzu niebieskiego i jaśminu. Od strony przechodzącej obok drogi szerokim, metrowym pasem zasadzony był ży-

wopłot wysokości do półtora metra z krzewu, którego nazwy nie pamiętam, ale który jesienią miał obfite białe miękkie kulki owoców, zwane przez nas – dzieci śnieguliczkami. Całość otoczona była płotem drewnianym.

PRZYJAZD RODZICÓW

Wiosną 1927 roku Oskar sprowadził z Bendusza (koło Myszkowa) do Wyder swoich rodziców. Jego ojciec akurat wtedy przechodził na emeryturę. Rodzice przywieźli ze sobą wiele swoich sprzętów i przedmiotów wyposażenia. Pomogli mu zorganizować gospodarstwo domowe i rolne w nowym miejscu: zakupić krowę, kilka prosiaków, kilka kur, zorganizować pierwsze siewy i zbiory. Leśniczówka Wydry zaczęła na nowo żyć.

Leśniczy Oskar skupiał uwagę przede wszystkim na zadaniach w gospodarce leśnej. Do gospodarstwa rolnego nigdy nie miał serca. Zajmował się nim tylko na tyle, na ile naprawdę musiał. Do robót polowych, siewów, zbiorów, omłotów itp. najmował ze wsi gospodarza z końmi oraz robotników do prac zadaniowych. Często zdawał się na ich doświadczenie i inicjatywę. Działał też według podpowiedzi swoich rodziców oraz zaprzyjaźnionego gospodarza ze wsi. Do codziennej obsługi inwentarza i innych zadań przydomowych najął za kilka złotych wynagrodzenia i wyżywienie, parobka „na przychodne” oraz kobietę „na stałe” do prowadzenia gospodarstwa domowego. O ludzi do pracy było łatwo. Bezrobocie i bieda na wsi „aż piszczwały”.

Młody, wysoki (192 cm) i przystojny leśniczy, na stanowisku państwowym, gwarantującym stałą pensję miesięczną, dysponujący dobrze wyposażonym gospodarstwem rolnym leśniczówki, stanowił łąsy kąsek małżeński dla licznych panien z „dobrych domów” w okolicy. Był z takim zamiarem wielokrotnie zapraszany do różnych domów po wsiach i miasteczkach w okolicy. W rolę swatów angażowali się też jego koledzy leśnicy, którzy uważali, że w leśniczówce musi być pani domu, żona. Lecz Oskar był wybredny, grymasił. Zanim się naprawdę zdecydował ożenić, minęło jeszcze kilka lat. A jak żartobliwie opowiadał, takich bezowocnych wizyt „w zalotach” naliczył szesnaście.

INŻYNIER HOFFMANN I ŚWIATŁO W LEŚNICZÓWCE

Epokowym zdarzeniem w historii leśniczówki Wydry, które wywarło znaczący wpływ na warunki życia, a nawet na późniejsze losy mieszkańców leśniczówki, było spotkanie leśniczego Oskara Vogta z budowniczym Elektrowni w Żurze inż. Alfonsem Hoffmannem, jesienią 1927 roku. Na podstawie Uprawnienia Rządowego z 14 września 1927 roku, podjęte zostały prace nad budową drugiej, po elektrowni z 1923 w Gródku, elektrowni wodnej na rzece Wdzie. Była to wówczas inwestycja o kluczowym znaczeniu dla energetyki Pomorza i budowy portu morskiego w Gdyni. Na podstawie badań geologicznych wybrano pod lokalizację

zapory wodnej miejsce, w którym dolina rzeki była najwęższa, w odległości około 800 m od leśniczówki Wydry.

W toku realizacji zadań leśnych Oskar nieraz spotykał się z inż. Alfonsem Hoffmannem, który kierował projektem, a potem realizacją całego zadania inwestycyjnego. Obaj panowie przypadli sobie do gustu, zaprzyjaźnili się, choć stosowny dystans był na zawsze zachowany. Ojciec nie zwracał się nigdy inaczej, niż per „panie inżynierze”. Zaczęli razem spędzać czas również pozasłużbowy. Ojciec wspominał mi, jak to oprowadzał inżyniera Hoffmanna po różnych ciekawszych obszarach leśnictwa Wydry, jak zimą 1927 roku polowali razem na kaczki nad zatopionymi potem brzegami Wdy. W spotkaniach tych rozmowa schodziła często ze spraw służbowych na różne inne tematy życia codziennego. W toku którejś z tych rozmów inż. Hoffmann napomknął, że w obecnym miejscu swego zakwaterowania służbowego nie ma wygodnych warunków do pracy i wypoczynku. Oskar się nie zastanawiał, w swoich decyzjach często bywał bezpośredni, żywiołowy, impulsywny. Zaprosił inżyniera do zamieszkania w leśniczówce. Miejsca jest dość, opału na zimę nie zabraknie, a wyżywienie i obsługa też się znajdzie. O zapłacie oczywiście nie ma mowy. Nie będzie to wynajem. Leśniczy przecież może przyjmować gości.

Inżynier Hoffmann propozycję Oskara przyjął bez większego wahania. Zima 1927/1928 roku była ostra. A budynek leśniczówki murowany, ciepły, pokój wygodny i blisko do miejsca realizowanej budowy. Zamieszkał w dużym pokoju ogrzewanym piecem kaflowym na pierwszym piętrze leśniczówki, z dwoma oknami, wychodzącymi na rzekę i budowaną za nią elektrownię. Inżynier mieszkał i pracował w leśniczówce od późnej jesieni 1927 roku do wiosny 1929 roku, dopóki nie otrzymał zakwaterowania w budowanym właśnie pensjonacie elektrowni. Zaprzyjaźniony jednak już z mieszkańcami leśniczówki, często do niej zaglądał. Chyba w rewanżu za gościnę przy świecach i lampach naftowych w długie jesienne i zimowe wieczory, inż. Hoffmann postanowił leśniczówkę Wydry zelektryfikować! Wystąpił sam z kosztorysem ofertowym do Nadleśnictwa Szarłata, ale otrzymał stamtąd odpowiedź odmowną. Nadleśnictwo nie miało środków na taki luksus. Zresztą samo tonęło w nocnych ciemnościach. Inne leśniczówki na całym Pomorzu też nie miały elektrycznego światła i Wydry, choć są tak blisko budowanej elektrowni - też go mieć nie muszą! Oburzył się Hoffmann na taką ciemnotę argumentów i postanowił, że w takim razie sfinansuje zelektryfikowanie leśniczówki Wydry ze środków realizowanej inwestycji. Jak postanowił, tak zrobił. Sam wykonał projekt techniczny linii doprowadzającej energię od elektrowni oraz instalacji licznika i sieci elektrycznej w obiektach leśniczówki. Światło otrzymały wszystkie pomieszczenia parteru, piętra i piwnicy budynku mieszkalnego, wszystkie pomieszczenia budynku dla inwentarza oraz punkty świetlne nad gankiem na podwórku przed domem mieszkalnym i przed budynkiem inwentarza w podwórzu gospodarczym. W każdym pomieszczeniu zainstalowany był wyłącznik, punkt świetlny

i jedno gniazdko wtykowe dla dodatkowego odbiornika prądu. Już latem 1929 roku stanęły słupy linii elektrycznej w polu, jesienią zainstalowano przewody linii doprowadzającej i sieci odbioru prądu, a z chwilą uruchomienia pierwszej turbiny Elektrowni Żur, w dniu 22 grudnia 1929 roku, światła elektryczne rozświetliły też zabudowania leśniczówki Wydry! To dopiero były Świąta! Była to wówczas pierwsza i jedyna na Pomorzu, a być może nawet w całej Polsce, leśniczówka oświetlona światłem elektrycznym. Nie dziw zatem, że osiągnięcia tego zazdrościli Oskarowi wszyscy jego koledzy leśnicy. I zapewne nie tylko oni.

Gdy tylko na wiosnę 1928 roku na wzgórzu za rzeką, naprzeciwko leśniczówki zaczął się ruch wokół budowy elektrowni, matka Oskara - Emilia Vogtowa natychmiast wyczuła szansę. Z pobliskiego majątku w Spławiu zakupiła sześć mlecznych krów, kilka sporych już prosiąt i znaczne stadko kur niosek. Zatrudniła sobie do tego stosowne grono służby i produkcja żywności ruszyła całą parą. Do wyposażenia technicznego gospodarstwa zakupiła też dwie poręczne maszyny: centryfugę do odwirowania śmietany z mleka oraz masielnicę do ubijania masła.

PRZYJAZD HALUSI

W lipcu 1929 roku z wizytą do Wyder zawitała Joanna Walterowa. Wraciała z wakacji nad morzem z dziećmi: Haliną (1912-2006), Janem (1914-1985) i bliźniakami Tadeuszem (1924-1944) i Zofią (1924-1993). Adolf (1874-1940) i Joanna (1892-1975) Walterowie poznali Maksa i Emilię Vogtów w 1921 roku, gdy Maks podjął pracę leśnika w lasach sporego prywatnego majątku ziemskiego w Będuszu koło Myszkowa, którego administratorem był wówczas właśnie Adolf Walter. Gości przyjęto we Wydrach serdecznie, odpowiednio zakwaterowano. Starsi państwo zabawiali się wymianą nowin i opieką nad pięcioletnimi bliźniakami, Oskar zaś oprowadzał Halusię i Jasia po okolicy, prezentując im uroki lasu, skrytych w nim jeziorzek i leśnych strumyków, dopiero co spiętrzonego Zalewu Żurskiego, zapory, elektrowni w budowie. A ponieważ były to żywioły jego życia, umiał opowiadać o nich długo i barwnie. Sam się sobie dziwił, że tak bez wewnętrznego oporu, tyle czasu poświęcał tym młodym gościom. Ale znalazł w nich autentycznie zaangażowanych słuchaczy. Zwłaszcza Halusia z zapałem interesowała się każdym szczegółem lasu i życia w leśniczówce. Bawiło ją też podglądanie życia licznych zwierząt leśnych. Szczególnie urocza była rodzinka saren, które każdego wieczoru, w promieniach zachodzącego słońca wychodziły na popas na łąkę pod lasem i do wodopoju z przepływającego tam strumyka - i z odległości trzystu metrów pozwalały się obserwować z ganku leśniczówki. Był to widok wspaniały, zwłaszcza przez lornetkę. Pewnego dnia, po powrocie z kolejnej wycieczki leśnej, zachwyconej Halusi wyrwało się: „Mamo, jak tu pięknie, chciałabym tu mieszkać!”. A Oskarowi w tym momencie serce omal z piersi nie wyskoczyło. Ta mała, inteligentna, żywiołowa i wścibska istotka mogłaby

zostać jego żoną? Teraz ona ma 17 lat, kończy za chwilę ostatni rok szkolny, robi maturę. Ale za rok...

Wprawdzie Oskar kończył 28 lat, ale przecież jego ojciec był starszy od matki o kilkanaście lat. Podobnie jest w rodzinie Walterów. Takie wówczas były zwyczaje. Podobne rozważania wieczorami do poduszki prowadziła też Halusia. Wpierw zakochała się w Wydrach, w tym uroczym zakątku leśnym. Dopiero potem przyszło jej na myśl, że ten nieco wprawdzie starszy, ale miły, przystojny i towarzyski leśniczy mógłby zostać partnerem w jej życiu. Wizja zamieszkania w tym uroczym zakątku nabierała coraz realniejszych kształtów. Gdy po dwóch tygodniach pobytu we Wydrach, goście powracali do Warszawy, pożegnanie kryło echa wzajemnych sentymentów.

ŚLUB I BOCIANY

Latem 1931 roku Oskar wybrał się do Warszawy, oświadczył się o rękę Halusi i został przyjęty. Jak sam potem to wydarzenie komentował, była to jego siedemnasta okazja matrymonialna, tym razem udana i szczęśliwa. Odtąd Oskar liczbę „17” uznawał za pomyślną dla siebie tak dalece, że na każde polowanie brał ze sobą do ładownicy 17 sztuk nabojów.

Ślub Oskara z Haliną Walterówną⁴ odbył się 20 października 1931 roku w Kościele Ewangelicko-Augsburskim przy placu Małachowskiego w Warszawie. Na skromnym przyjęciu weselnym bawili się rodzice i brat Halusi - Jasio, matka i siostry Oskara z mężami oraz liczne grono kuzynek i kuzynów Halusi, też już z małżonkami. A w końcu października 1931 roku Oskar przywiózł swoje Szczęście pociągiem, a potem wynajętą bryczką z Osia, przez Spławie do Wyder. Potem, w marcu 1932 roku Oskar zbudował na dachu budynku dla inwentarza drewnianą platformę o wymiarach 150 na 150 cm. Przelatujące wtedy wiosną bociany przyjęły ofertę i założyły gniazdo. Pobliskie łąki i strumyki dostarczały pokarmu w bród. Bociany zagnieździły się tu trwale, co najmniej do 1945 roku. Zgodnie z oczekiwaniami Oskara, 10 września 1932 roku urodziłem się ja, Andrzej Jacek Vogt. Gdy ktoś nie wierzy, że to bociany przynoszą dzieci, to ja jestem na to dowodem niepodważalnym!

Halusia i Oskar zostali wtedy moimi rodzicami, i odtąd w tych wspomnieniach będę nazywał ich Mamą i Tatą (Matką i Ojcem). W 1934 roku urodziła się moja siostra Hania. Urodziła się niestety z jakąś wadą organiczną, z którą ówczesna medycyna nie potrafiła sobie poradzić i zmarła po kilku miesiącach. Została pochowana obok dziadka Maksa Vogta, na cmentarzu Bohm'ów w Spławiu⁵. W 1936 roku urodziła się druga moja siostra Izabela. Tym razem szczęśliwie całkiem zdrowa. Każde dziecko wkrótce po urodzeniu rodzice zawozili do dziadków Walterów, skąd podawane było do chrztu w Kościele Ewangelicko-Augsburskim przy Placu Małachowskiego w Warszawie. W takim gronie rodzinnym przeżyliśmy z rodzicami lata dzieciństwa do końca stycznia 1945 roku.

PANI NA WYDRACH

Młodą panią domu powitało we Wydrach elektryczne światło oraz radio, zbudowane i zainstalowane wcześniej przez jej brata Jasia⁶ na zamówienie jej przyszłego męża. Radio było czterolampowe, skonstruowane według najnowszych wzorów, z głośnikiem osadzonym w osobno stojącym pudle rezonansowym z dykty, o wymiarach 80 na 80 na 40 cm. Antena, wyprowadzona wysoko nad dach budynku, uziemiona odgromowo na przełączniku, odbierała radiostację „Warszawa” bez zakłóceń, pomimo że leśniczówka zlokalizowana jest w głębokiej dolinie. „Cuda” te nie wywarły na Halusi szczególnego wrażenia. Wiedziała już o nich wcześniej, a poza tym miała je też w domu w Warszawie.

Elektryczność w domu i gospodarstwie zapewniała jej jednak taki standard życia, do jakiego już przywykła. Można było pracować i czytać w długie zimowe wieczory. Wkrótce obok radia pojawiła się w gospodarstwie domowym kuchenka elektryczna, a potem też elektryczne żelazko. W kilka lat później moja Mama zauważyła, że w oświetlonej zimą oborze krowa daje więcej mleka, a kury znoszą więcej jajek. Odtąd, gdy klimat nie pozwalał wyprowadzać zwierząt na powietrze, pomieszczenia budynku dla inwentarza pozostawały całymi dniami elektrycznie oświetlone. Prąd nie kosztował znowu tak drogo. Wśród różnych sprzętów, Mama odkryła w domu pedałem napędzaną maszynę do szycia firmy „Singer”, pozostawioną tu przez babcię Emilię Vogtową. W zgrabnych rękach naszej Mamy, maszyna ta przyniosła rodzinie niezmierzone korzyści. Potem ubranka dla dzieci, a też wiele rzeczy dla siebie i ojca, Mama szyła sama, korzystając z „Wykrojów i wzorów” sprzedawanych przy różnych czasopismach kobiecych, lub wręcz jako samodzielne wydawnictwa.

Społeczność leśnego i wiejskiego otoczenia leśniczówki przyjęła młodą panią na Wydrach z dużym sceptycyzmem. Ludzie uważali, że żoną leśniczego powinna zostać dziewczyna doświadczona w gospodarzeniu i życiu na wsi. Niedwuznacznie dawali Ojcu do zrozumienia, że ich zdaniem ta delikatna wielkomiejska paniusia długo tu nie wytrzyma i odejdzie. Nie doczekali się jednak spełnienia swoich prorocत्व. Z coraz większym podziwem obserwowali, jak to kruche, drobne miejskie dziewczątko ze stanowczym uporem pokonuje kolejne trudności i przy pomocy dobranej służby opanowuje arkana wiedzy o tajnikach, obyczajach i tradycjach wiejskiego życia i gospodarki. Gospodarstwo rolne i hodowlane przy leśniczówce, Mama pozostawiła na dotychczasowych warunkach działania, pod ogólnym nadzorem Ojca. Hodowlę inwentarza obsługiwał najęty na przychodne ze wsi parobek. On też rąbał i donosił drewno na opał i uzupełniał zapas wody w stągwi w kuchni.

Uprawę ziemi, zasiewy i sadzenia, koszenie, zbiory i omłoty organizował Ojcu zaprzyjaźniony rolnik ze wsi Wałkowiska, swoim koniem, wozem i narzędziami, oczywiście za odpowiednim umownym wynagrodzeniem. Stosownie do

potrzeby gospodarz ten angażował do pracy w polu pracowników doraźnych. Uprawy rolne były zresztą proste, obliczone tylko na wyżywienie mieszkańców i inwentarza leśniczówki. Uprawiano żyto i ziemniaki, a na paszę brukiew lub buraki pastewne, jęczmień, łubin i seradellę.

OGRÓD MAMY

Mamusia zawsze z zapałem zajmowała się utrzymaniem domu, opieką i wychowaniem dzieci, ubraniem i wyżywieniem rodziny, zwłaszcza pieczeniem smacznego chleba i różnych ciast oraz uprawą i zbiorami ogródka warzywnego. W ogródku warzywnym, wielkości siedmiu arów, Mama siała wszelkie warzywa, które mogły być przydatne w kuchni domowej. Wysokiej jakości nasiona tych roślin zamawiała z corocznie przysyłanego jej katalogu wysyłkowego dużej firmy nasiennictwa ogrodniczego w Toruniu. Z tych nasion, przysyłanych w paczkach za zaliczeniem pocztowym, Mama uprawiała: marchewkę, pietruszkę, koperek, szpinak, ogórki, kapustę białą i czerwoną, kalarepkę, kalafior, buraczki czerwone, fasolkę szparagową, groch, fasolę strączkową, cebulę, ale też pomidory, kabaczki i dynie. Szczaw dziko rosnący zbierało się po prostu na łące, a wspaniały chrzan rósł od niepamiętnych czasów w kącie pod płotem warzywniaka. Ilości zbiorów starczały też na zapasy zimowe. Corocznie na zimę pozostawiało się w ogródku kilka główek kapusty, które spod śniegu wygrzebywały sobie leśne zające, a czasem też sarny, choć dla nich pozostawiano zawsze kopki siana na łące.

W ten sam sposób Mama sprowadziła sobie z tegoż Torunia sadzonki krzewów agrestu do ogrodu owocowego oraz bulwy georginii, tzw. dalii, które zasadziła przed frontem domu. W osobnym ogrodzie owocowym niezłe plony przynosiły stare, wysokopienne dwa drzewa wiśni, kilka śliw i grusza. Z zakupionych później sadzonek niskopiennych owocowały: czereśnia i jabłoni zimowa.

Do pomocy w tych pracach Mama zatrudniała zwykle kobiety z sąsiedniej wsi na stałe, to znaczy z zamieszkaniem lub na przychodne, zależnie od potrzeby. Kobieta ta pracowała według wskazań i pod nadzorem Mamy. Mama miała przy tym jednak znacznie więcej czasu dla nas, dzieci. Regularnie chodziliśmy z Mamą do lasu nad pobliskie jeziorko lub na słoneczne polany, na poziomki, na jagody, na maliny i jeżyny, wreszcie na grzyby. W ciepłe letnie dni chodziliśmy też często nad Zalew Żurski, na zaporę lub do kąpieliska przy przystani. A jesienią, zimą i wiosną – po prostu na spacerach lub na sanki.

W dni wolne od pracy w wyprawach tych zwykle towarzyszył nam Ojciec, a w sezonie letniskowym zdarzało się, że dołączali do nas nasi letnicy, korzystając z nas jako przewodników po okolicy. Dopóki ja, a potem jeszcze moja siostra Iza, byliśmy mali, wyprawy te wymagały od Mamy lub innych, towarzyszących nam osób, dość ciężkiego pchania dzieciennego wózka po trudno przejezdnych, często piaszczystych drogach leśnych.

LAS NA PIERWSZYM MIEJSCU

Wspominałem o tym, że oddech od wszystkich trosk dnia codziennego Ojciec zawsze, gdy tylko mógł, znajdował w lesie. Do pracy w lesie szedł nie dlatego, że musiał, ale dlatego, że chciał, że go tam ciągnęło. Tam nie liczył godzin pracy. Często wracał do domu dopiero późnym wieczorem, zdarzało się, że i po ciemku, bo coś tam go zatrzymało w lesie z dala od domu. Nie znaczyło to bynajmniej, że nie kochał żony i dzieci. Kochał! I to bardzo. Ale las był zawsze na pierwszym miejscu. Miał tam zapewne też różne problemy, techniczne i ludzkie, ale były one tylko przedmiotem większego lub mniejszego jego zawodowego zaangażowania.

Do pracy Ojciec chodził zawsze w służbowym mundurze, z plecakiem na jedzenie, picie i różne przybory oraz z peleryną, która miała go chronić przed opadami atmosferycznymi. Miała, bo różnie to bywało. Pomimo, że Mama przynajmniej raz na tydzień impregnowała ją w jakimś cudownym impregnacie, większy deszcz, lub dłuższa mżawka, zawsze jakoś tą pelerynę przesiąkły. Zależnie od temperatury zewnętrznej i pogody, Ojciec wkładał pod mundur cieplejszą lub lżejszą bieliznę, a tylko zimą, przy dużym mrozie, wkładał na mundur płaszcz. Był człowiekiem zdrowym. Bardzo rzadko zdarzało się, że się gdzieś przeziębził. A jeżeli, to raczej z przegrzania, niż z przechłodzenia ciała.

Jedyną rzeczą, na którą Ojciec narzekał w związku z pracą w lesie, to były buty. A właściwie brak na rynku wówczas takich butów, które by nie przemakały w czasie całodziennego chodzenia po mokrej trawie, mchu lub śniegu. Poza wyjątkami suszy, szczęśliwie dla lasu zdarzającej się tam stosunkowo rzadko, Ojciec wracał na ogół po dniu pracy do domu z przemoczonymi nogami. Nie pomagało żadne natłuszczanie butów łojem, olejem lub rozgrzaną parafiną.

LEŚNE PRACE

Przedsiębiorstwem, czyli jednostką gospodarczą Lasów Państwowych, było wówczas nadleśnictwo. Tam opracowywane były plany gospodarcze i finansowe Lasów na kolejny rok gospodarczy, liczony chyba od 1 listopada do 31 października następnego roku. Tam przyjmowano zamówienia, wystawiano asygnaty na wywóz drewna z lasu i fakturowano sprzedaż. Tam też wypłacano pieniądze za prace wykonywane w lesie i na wynagrodzenia leśników. Leśniczy był przede wszystkim wykonawcą wycinka planu tego przedsiębiorstwa dla leśnictwa, chociaż zgłaszał do każdego planu rocznego swoje uwagi i wnioski oraz sygnalizował ograniczenia co do możliwości wyrębu i pozyskania planowanych ilości drewna i potrzebnych mu środków do realizacji wyznaczonych zadań.

Trzeba też zauważyć małą sprawność ówczesnych narzędzi pracy w gospodarce leśnej. Były to - do cięcia i rozdrabniania drewna: siekiera ręczna, piła taśmowa do przecinania grubych pni pociągana na przemian z dwóch końców przez dwóch robotników, piła ręczna na pałąku do odcinania gałęzi powalonych drzew

oraz podcinania i rozcinania cieńszych pni drzew, obsługiwana przez jednego robotnika, klin metalowy lub drewniany, gdy metalowego brakło, do rozłupywania pni drzew na szczapy. Do prac ziemnych służyły: łopata, kilof oraz kilof szpaltowy z szerokim ostrzem do podkopywania i odsuwania warstwy ściółki leśnej, kilof - kostur do wytłaczania gniazd sadzonek drzew oraz pazurki metalowe do prac pielęgnacyjnych w szkółkach i grabie metalowe. W transporcie leśnym używany był koń i wóz (wynajęty, bo leśnictwo własnego nie posiadało), ręcznie ciągniony wózek na czterech kołach i płachty brezentowe do ręcznego przenoszenia lub przeciągania po ziemi materiałów, odpadów, sadzonek itp. Takie środki pracy ograniczały wówczas możliwą eksploatację zasobów leśnych w roku gospodarczym. Może to i dobrze, bo mimo różnych zakusów na drewno, lasy Borów Tucholskich zachowały jednak do 1947 roku swój pierwotny charakter. Również przybory do ostrzenia narzędzi były prymitywne. Praktycznie każdy robotnik ostrzył sobie swoje narzędzia sam, a o narzędzia wspólne dbał przodownik - brygadzysta.

Zadania eksploatacyjne w gospodarce leśnej pozostały chyba dotąd bez zmian. Były to zręby całkowite starych drzewostanów, przecinki selekcyjne w zagajnikach i lasach młodszych. Drewno pozyskiwane z nich, po okorowaniu, przeznaczane było wówczas na tzw. kopalniaki, na papierówkę (cięte na długość 1m), oraz pozostałe drewno, już tu nie korowane, na różne drągi, sztachety do płotów lub wręcz na opał. Dalsze zadania to usuwanie poszycia z obszarów zrębów całkowitych, przygotowanie terenu dla nowych nasadzeń, sadzenie i pielęgnacja upraw leśnych, przecinanie i czyszczenie ze ściółki leśnej przydrożnych pasów przeciwpożarowych, utrzymywanie przejezdności dróg i przesiek leśnych, na przykład linii między oddziałami lasu, naprawianie uszkodzonych dróg, wycinanie samosiejek, wyłapywanie i niszczenie szkodników leśnych.

Leśnictwo Wydry miało nawet dość sporą szkółkę leśną, usytuowaną na płaskowyżu w pobliżu leśniczówki, na terenie piaszczystym o podłożu z gliny, a zatem zachowującym dość długo wilgotność gleby, a przy tym dobrze nasłonecznionym. Nie prowadzono tam zasiewów. Jednoroczne siewki były tu przywożone i „pikowane” do gleby na okres dwóch lat. Dopiero wtedy służyły do zakładania nowych upraw leśnych.

Za niewielkie pieniądze leśniczy sprzedawał na kwity, wystawiane w imieniu nadleśnictwa, prawo do zbierania w lesie tzw. suszu. Było to drewno opałowe z suchych gałęzi i szyszek, odpadłych z drzew. W ramach kwitu wolno było też na wykupionym obszarze obłamywać z drzew suche gałęzie, które jeszcze same nie odpadły. Nie wolno tylko było używać przy tym siekiery! Kwity na susz miały olbrzymie powodzenie w sąsiednich wioskach. Ludzie przychodzili po nie przez cały sezon wiosenno-letnio-jesienny. Ponieważ leśniczy nie mógł przez cały czas tylko czekać w domu na nabywców suszu, do wystawiania tych kwitów, z numerowanego bloczka i według ustalonego przez męża planu, upoważniona została



Oskar i Halina Vogtowie.
Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta



Leśniczy Oskar Vogt z żoną Haliną i synem Jackiem Andrzejem (w wózku) w 1933 roku.
Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta



Uczestnicy kursu żywicowania na terenie Leśnictwa Nowa rzeka w Nadleśnictwie Osie, w 1937 roku. Leśniczy Oskar Vogt w pozycji półleżącej, pierwszy od lewej. Fot. archiwum Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu

też żona leśniczego. Zebrany susz opałowy ludzie wywozili z lasu furmankami, na ręcznych wózkach, lub wynosili w płachtach na własnych plecach. Był to opał tani, lekki, łatwo dostępny, a lasy były wysprzątane! Zwyczaj ten zanikł podobno dopiero wtedy, gdy do kuchni i pieców wiejskich dotarł tani węgiel. Podobne kwity wykupywali też rolnicy jako zezwolenia na wypas bydła na wyznaczonym obszarze leśnym.

Do wyłapywania szkodników leśnych kopało się wiosną w lesie długie, wąskie i dość głębokie rowy o stromych ścianach. Szkodliwe dla lasu „robaki i liszki” itp., które tam wpadły, wybierano ręcznie do worków. Worki te przynoszono do leśniczówki i tu były sparzane (polewane) wrzątkiem, po czym przeznaczane były na karmę dla drobiu i świń.

KANCELARIA OJCA

Biurowym stanowiskiem pracy Ojca była kancelaria w leśniczówce. Był to pokój o wymiarach trzy na trzy metry z jednym oknem. Przy oknie stało duże biurko, a poza tym fotel i trzy krzesła dla interesantów. Na ścianach, za i przed biurkiem, stały zwykłe regały pod sufit, a na nich książki, papiery i segregatory z różnymi dokumentami, w tym archiwum. W biurku była skrytka na pieniądze. Nie było kasy pancernej, a w leśniczówce zawsze były jakieś pieniądze, ze sprzedaży „kwitów”, na wypłatę dla robotników itp.

Za drzwiami kancelarii stał piec kaflowy opalany drewnem, a po drugiej stronie drzwi zawieszony był na ścianie telefon. Wyposażenie stanowiska pracy Ojca stanowiły różne formularze druków raportów z lasu, kałamarz atramentu, pióro - dawniej jeszcze gęsie, ale w latach 1930-tych już ze stalówką, suszka z bibułą do atramentu, ołówki kopiowy do pisania dokumentów przez kalkę. Był to ołówek którego grafit nie pozwalał wytrzeć zapisu gumką, a po zwilżeniu papieru zapis zabarwiał się na niebiesko. Było też liczydło służące do dodawania i odejmowania liczb. Mnożenie i dzielenie liczyło się na papierku odręcznie, jak mówiono, na piechotę. Pamiętam też tak zwany „wałek” z nawiniętą nań tablicą arytmetyczną do obliczania ilości metrów sześciennych drewna dla wymierzonej średnicy i długości zarejestrowanego kłoca drewna, okorowanego już i przyciętego na długość.

Były też w kancelarii leśniczego przyrządy przydatne do pracy w lesie, tak zwana klupa do mierzenia średnicy kłoca drewna, taśma do pomiaru długości, numerator, czyli tarczowy młotek z umieszczonymi na obwodzie cyframi, którego uderzeniem wytłaczało się kolejny numer ewidencyjny na czole każdego pnia ściętego drzewa przeznaczonego do wywozu z lasu. I wreszcie bloczek arkuszy ewidencji pomierzonych kłoców drewna i zestawionych „sągów”, czyli stosów drewna opałowego. Sągi te też były numerowane „numeratorem”. Numery kłoców dłużyc i sągów drewna opałowego służyły do ewidencji zapasów i identyfikacji drewna w dokumentach wywozu drewna z lasu.

PO POLSKU I PO NIEMIECKU

Do pracy w lesie Ojciec zatrudniał stale dwie brygady mężczyzn, liczące od sześciu do dziesięciu osób, zależnie od potrzeby. Przodownikiem brygady robotników ze wsi Sierosław był Polak nazwiskiem Nadolny, a brygady robotników ze wsi Wałkowiska był Niemiec Karl Rettig. Była to struktura organizacyjna zastana przez Ojca w 1927 roku, której nie uważał za konieczne zmieniać.

Do sadzenia i pielęgnowania drzewek w szkółce, a potem na nowych nasadzeniach w lesie, Ojciec najmował doraźnie grupę kilkunastu kobiet, które już same wybierały spośród siebie brygadzystkę-przodowniczkę. W doborze ludzi do pracy Ojciec kierował się oceną ich sprawności fizycznej i zaradności. Nigdy nie zwracał uwagi na narodowość osoby przyjmowanej do pracy. Miał zwyczaj rozmawiania w pracy z Polakiem - po polsku i z Niemcem - po niemiecku. I chociaż kilkakrotnie zwierzchnicy lub nawet koledzy leśnicy, zwracali mu uwagę na niestosowność, ich zdaniem, takiego postępowania w polskim państwowym przedsiębiorstwie, Ojciec wykręcał się żartem, że nie poczuwa się do odpowiedzialności za skład narodowościowy pomorskiej wsi, nie chce jednak wzniesać konfliktów ograniczaniem dostępu do pracy ze względu na narodowość. A w pracy rozmawia z robotnikami w ich języku bo chce, by go dobrze zrozumieli.

Pomimo różnych przecież kłopotów – jak to w życiu – Ojciec w swoich postawach i zachowaniach był na ogół pogodny i życzliwie ustosunkowany do ludzi w otoczeniu. Był też na ogół lubiany. Podobno jeszcze dziś, w Wałkowiskach czy w Sierosławiu, spotkać można ludzi, którzy go z sentymentem wspominają. Gdyby nie to nazwisko, ten język który, potem, w pierwszych latach po drugiej wojnie stał się sam wrogiem, i gdyby nie to wyznanie, które stało na przeszkodzie prostej parafialnej integracji moich rodziców ze środowiskiem polskim (bo z miejscowym, ewangelickim niemieckim sami nie chcieli się integrować, wożąc swoje dzieci do chrztu demonstracyjnie aż do Warszawy), może łatwiej zostaliby zaliczeni do „swoich”. A tak, ta swojskość była zawsze nieco grzecznościowa.

WSZĘDZIE DALEKO

Oddalenie leśniczówki Wydry od innych leśniczówek Nadleśnictwa Szarlata, rozdzielenie ich spiętrzonymi wodami Zalewu Żurskiego, a do tego małe dzieci, wszystko to przy ówczesnych środkach komunikacji nie sprzyjało nawiązywaniu bliższych przyjaźni naszej rodziny z rodzinami innych leśników. Panowie leśnicy spotykali się przy służbowych okazjach w nadleśnictwie oraz na polowaniach, jednak ich rodziny pozostawały sobie obce. Bliższa przyjaźń nawiązała się tylko między nami a Otokarem Czajkowskim, leśniczym sąsiedniego Leśnictwa Skrzyniska (dziś nazywa się ono Zalesie) i jego żoną Klarą. Byli niestety bezdzietni. W 1936 roku Klara Czajkowska została nawet chrzestną matką

mojej siostry Izabeli. Ojciec z Czajkowskim zastępowali się też zwykle w czasie urlopów. Często bywaliśmy wzajemnie u siebie.

W pierwszych latach swojej pracy w Wydrach, Ojciec poruszał się na piechotę: do pracy w lesie, do wsi po ludzi do pracy, do sklepu (do Osia było pięć km), wreszcie do siedziby nadleśnictwa. Do Szarłaty było drogą około 15 km, czyli trzy godziny ostrego marszu. Po roku 1930 już regularnie, kilka razy dziennie kursował autobus po szosie Osie-Świecie, z przystankiem na krzyżówce dojazdu do Elektrowni Żur, którym można było podjechać do Osia. Gdy się dobrze trafiło w rozkład jazdy PKP, to można było też pojechać sześć kilometrów pociągiem z Osia do Tlenia. A nie licząc różnych wezwań służbowych, Ojciec przecież musiał być w nadleśnictwie kilka razy w miesiącu: z raportami z prac w lesie, by rozliczyć sprzedaż „kwitów”, po pieniądze dla robotników, po własną wreszcie pensję. Później, chyba w 1935 roku, Ojciec dorobił się roweru, który znakomicie ułatwił mu komunikację i kontakty z otoczeniem. Po lesie nadal chodził pieszo. Rower brał jedynie wtedy, gdy zmierzał wyłącznie do jednego określonego miejsca pracy w lesie. Zwykle jednak nadzór nad pracą ludzi w lesie łączył z wizytowaniem „na przełaj” samego lasu i wówczas rower mu przeszkadzał, zmuszał bowiem do powrotu do tego miejsca, w którym był pozostawiony.

O POLOWANIU W „SWOIM” LESIE

W latach 1930-tych nie istniało coś takiego, jak późniejsze koła łowieckie. A przynajmniej w naszym lesie. Gospodarzem zwierzyny leśnej, tak jak samego lasu, było tylko nadleśnictwo i w jego imieniu leśniczy na „swoim” terenie. Nie było też zwyczaju dożywiania zwierząt leśnych. Żyły one i karmiły się w lesie dosłownie dziko. Nadleśnictwo i leśnicy interweniowali tylko, gdy zwierzęta leśne robiły szkody w uprawach rolnych sąsiednich wsi. Zdarzało się to głównie dzikom, którym zawieszano nad polami „fladry”, czyli szmaty na linach, których kołysanie się na wietrze odstraszało zwierzęta. Czasem zdarzał się też interwencyjny odstrzał.

Raz w roku, zimą, każde leśnictwo organizowało polowanie z nagonką. Było to uroczyste, zwykle całodziennie spotkanie grona leśników rodzimego nadleśnictwa i gości - myśliwych, zaproszonych przez nadleśniczego. Leśniczy, gospodarz lasu, wyznaczał obszar łowny polowania, stanowiska myśliwskie i organizował nagonkę z różnymi kołatkami. Miał też wpływ na zaproszenie niektórych znajomych mu myśliwych. Po polowaniu następował jakiś „podział łowu” i obfity posiłek mieniony z alkoholem w leśniczówce, nieraz do późna w noc. Myśliwi z dalszych stron jeździli się na polowanie bryczkami i trzeba było też nakarmić woźniców i konie.

Ojciec organizował coroczne polowania w „swoim” lesie i brał też udział w polowaniach w innych leśnictwach. Chyba dwukrotnie był zaproszony na polowanie na zające na polach majątku Spławie. W polowaniach zawsze Ojcu towarzyszył wierny wyżeł zwany Rex, bardzo sprawny w „wystawianiu” i aportowaniu

zwierzyny. Dzielnie spisywał się też na polowaniach na ptactwo wodne. Obok udziałów w łowach na polowaniach, Ojcu z tytułu pracy leśnika przysługiwał określony limit odstrzału zwierzyny w „swoim” lesie na własne potrzeby. Nie wiem, od czego zależał rodzaj i ilość zwierzyny w przydziale, który wyznaczał nadleśniczy, ale zawsze był to co najmniej jakiś zając na święta. Jadłem też w tamtych czasach mięso z sarny i z dzika. Skórę upolowanych zwierząt Ojciec zawsze oprawiał, a potem garbował sam. Były potem z tego kołnierze, futerka dla dzieci, dywaniki koło łóżeczek, dekoracje, itp. akcesoria.

Wiosenną pasją Ojca było też tropienie i podglądanie zwierzyny sposobiącej się do nowego życia: dopiero co urodzonych zajączków, lisków, sarenek oraz zbieranie parostków, zrzuconych przez rogacze. Gdy gdzieś już znalazł jeden taki róg, to nie dojadł i nie dospał spokojnie, dopóki nie znalazł drugiego. Ściany pomieszczeń leśniczówki obwieszane były trofeami, mocowanymi na drewnianych tarczach. Pamiętam też raz, gdy miałem już sześć lat, Ojciec zrobił mi wczesną pobudkę i zaprowadził mnie na pobliską górkę w lesie, gdzie po krótkiej chwili oczekiwania, z odległości niespełna dwóch metrów, ukryci „pod wiatr” za jakąś kępą mchów, obserwowaliśmy bawiące się w promieniach wschodzącego słońca u wylotu nory, trzy małe liski, których mama niedawno wyruszyła po śniadanie. Widok był niezapomniany! Żeby nie robić alarmu, wycofaliśmy się, nie czekając na powrót lisicy.

W swoim arsenale Ojciec miał karabin „Mauser” kaliber 7,65. Od karabinu wojskowego odróżniała go tylko bardziej delikatna, lekko podrzeźbiona, zabarwiona na brązowo kolba oraz podgięta, przylegająca do łoża kolby, rączka zamka. Miał poza tym pięciostrzałowy, półautomatyczny karabin z lufą niegwintowaną, na amunicję śrutową kaliber 16, marki chyba „Winchester”. Posiadał pod zamkiem magazynek ładowany od spodu, podobnie jak Mause, tyle że naboje nie były mocowane „na łożce”, ale wsuwało się pojedynczo do komory magazynka. Po wsunięciu kolejnego naboju, zatrzask magazynka zamykał się automatycznie. Magazynek mieścił pięć nabojów. Po oddaniu strzału, zamek automatycznie wyrzucał łuskę i wprowadzał do komory następny nabój z magazynka. Ojciec zakupił ten karabin w 1936 roku i był z niego bardzo dumny. Karabin ten był też przedmiotem podziwu i cichej zazdrości w gronie kolegów myśliwych. Miał też Ojciec rewolwer typu „Browning”, który dla celów obronnych zwykł prawie zawsze nosić przy sobie. Na noc kładł sobie ten rewolwer pod poduszkę. Pistolet bębnekowy, typu nie pomnę. Bębenek mieścił chyba siedem nabojów. Miał on raczej charakter zabytku. Nie wiem, czy nie był spadkiem po dziadku Maksie.

NADSZEDŁ ROK 1939

Lato 1939 roku było słoneczne, nosiło jeszcze wiele złudzeń normalności, radości i ciepła. Ale czarne chmury coraz to gęstniały nad niebem Pomorza. Po żą-

daniu przez Hitlera eksterytorialnego korytarza swobodnej i niekontrolowanej komunikacji z Niemiec do Prus Wschodnich, dla nas wszystkich było już jasne, że wybuch wojny jest nieunikniony. Pytanie było tylko, kiedy? Ojciec wspominał, jak to Pierwsza Wojna Światowa wybuchła 1 sierpnia 1914 roku. Wiele mówiło się o tym, że wojny zawsze zaczynają się późnym latem, gdy plony w stodołach lub jeszcze niezebrane na polach, ułatwiają wyżywienie maszerujących wojsk. Nawet nam, dzieciom (ja miałem lat siedem, moja siostra Iza - trzy) udzielał się wojenny zapach. Nie oddamy ani guzika - powtarzaliśmy dumnie słowa Marszałka Rydza Śmigłego.

Pierwszego września zbudził nas telefon przed godziną szóstą rano. Wojna! Okazało się, że rodzice byli już przygotowani do realizacji planu ewakuowania rodzin leśników. Nie było popłochu. Mama była spakowana, sprawnie umyła i ubrała dzieci. Ojciec rowerem pojechał do wsi po wcześniej umówioną podwodę. Jeszcze śniadanie, zapakować walizki, koce i dzieci na wóz, i o godzinie ósmej odjazd z Wyder. Dlaczego, dokąd, po co? Pytania moje i siostry Mama kwitowała krótko: sama nie wiem, takie są polecenia z nadleśnictwa. Ojciec ubrany w mundur leśnika, wziął ze sobą karabin i rewolwer. Resztę broni zapakował do bagażu na wóz i pojechał przodem na rowerze. Leśniczówka, a w niej cały nasz majątek oraz koty i dwa psy, została pod opieką Bojków.

WIELKA EWAKUACJA

Około godziny jedenastej byliśmy już pod budynkiem Nadleśnictwa w Szarłacie. Tu zjeżdżały się też podwodami rodziny pozostałych leśników nadleśnictwa. Tu dowiedziałem się, że mój Ojciec był już uprzednio wyznaczony na komendanta naszego konwoju ewakuacyjnego, a jako jego dubler towarzyszył nam leśniczy z leśnictwa Czarna Woda, pan Kazimierz Buszek. Wystawiono im dokumenty, nadające prowadzonemu konwojowi charakter transportu urzędowego, co uprawniało Ojca do żądania podwód od sołtysów kolejnych wsi. Usługi podwód Ojciec pokrywał potem sołtysom kwitami urzędowymi. Leśnicy i ich rodziny otrzymali chyba półroczne wynagrodzenie na pokrycie kosztów utrzymania przez czas ewakuacji. Jeszcze w nadleśnictwie poczęstowano nas wszystkich pożegnalnym obiadem, jeszcze zgęszczono załadowanie kilku rodzin, by zmniejszyć ilość wozów w konwoju i... około godziny szesnastej konwój wyjechał z Szarłaty. Było nas około osiemnastu osób dorosłych i dzieci na czterech podwodach. Ojciec jechał prawie cały czas na rowerze, co pozwoliło mu łatwo przesuwąć się na czoło lub koniec konwoju, stosownie do potrzeby. Nie pamiętam, niestety przebytej trasy naszego konwoju ewakuacyjnego.

Zapisało mi się tylko w pamięci, że pierwszego dnia mijaliśmy Osie, Laskowice, Świecie i - już po ciemku - Przechowo koło Świecia, skąd zapamiętałem oświetlone okna w dużych budynkach młynów. Nazwy tych miejscowości znałem już

wcześniej. Przejeżdżaliśmy przez Inowrocław. Wcześniej znałem już nazwę Wrocław, a ten Inowrocław wydał mi się jakoś dziwny. Stąd zapamiętałem. Kruszwicę mijaliśmy nocą. Pamiętam, jak Ojciec zbudził mnie w nocy na wozie i powiedział: Opodał mijamy Mysią Wieżę i jezioro Gopło. Ciemno. Nie widać. Ale zapamiętaj! Potem dopytywałem się Mamy, o co chodziło z tą Mysią Wieżą, i zapamiętałem. Pamiętam też Płowce i pomnik zwycięstwa króla Władysława Łokietka nad Krzyżakami w 1331 roku. Ojciec zatrzymał tam wozy, podprowadził nas, dzieci do pomnika i powiedział: Zapamiętajcie! Jeżeli wkroczą tu Niemcy, ten pomnik na pewno zniszczą.

Potem dotarliśmy do brzegu Wisły, z zamiarem przeprawienia się na drugi brzeg. Niestety, most pod miastem był bombardowany i - jak Ojcu powiedziano - chwilowo niedostępny. Trzeba było się wycofać. Zanim do tego doszło, nad drugim brzegiem Wisły, dosłownie naprzeciwko nas, rozegrała się bitwa samolotów myśliwskich. Leżeliśmy całym konwojem na piasku, w krzakach nad Wisłą. Nadleciały dwa samoloty niemieckie, które natychmiast zostały zaatakowane przez dwa myśliwce polskie. Bitwę widzieliśmy jak na dłoni. Po chwili jeden samolot niemiecki zadymił i spadł. Pilot ratował się na spadochronie. Drugi Niemiec odleciał. Nasze myśliwce też odleciały. Wkrótce potem przyleciała polska sanitarka, dwupłatowiec z namalowanym dużym czerwonym krzyżem na białym tle i zabrała niemieckiego pilota z pola. Było to chyba siódmego września. Ale gdzie? Pod Włocławkiem?

Później przeprawiliśmy się przez Wisłę promem. Ale gdzie to było, w Nieszawie? Możliwe. Dopiero tam, na północno-wschodnim brzegu Wisły, Ojciec dowiedział się, że od północy, od Prus Wschodnich, też nacierają wojska niemieckie. Zrozpaczony bezsensu naszych zmagających ewakuacyjnych, przekazał dowództwo nad naszym konwojem koledze leśniczemu Kazimierzowi Buszko, a sam zameldował się u dowódcy napotkanej w lesie polskiej jednostki wojskowej, z prośbą o przyjęcie go do Wojska Polskiego, by mógł walczyć. Dowódca jednostki, major, podziękował Ojcu za dobre intencje, ale stwierdził, że nie ma dla niego ani munduru, ani broni. W mundurze leśnika Ojciec walczyć nie może. To sprzeczne z Konwencją Genewską. A ponadto, on sam, dowódca sporego oddziału wojska, nie ma łączności z dowództwem, nie ma żadnych rozkazów, nie wie, gdzie jest wróg, a gdzie są swoi. Jest podobnie bezsilny. Poleciał Ojcu, by wrócił do swoich zadań. Wrócił! Co miał zrobić? Postanowił też możliwie szybko powrócić na lewy brzeg Wisły i kierować się do Warszawy.

U sołtysa Ojciec dowiedział się, że w sąsiedniej wsi wojsko zbudowało pontonowy most przez Wisłę. Dotarliśmy tam wkrótce i Ojcu udało się uzyskać zgodę na przeprawienie tamtędy naszego konwoju. Było to chyba w Dobrzyniu nad Wisłą.

Wiesz, do której dotarliśmy nad wieczorem tego dnia, nazywa się Klusek Biały i leży w odległości około osiem kilometrów od Gostynina, przy drodze do Lu-

cienia i Nowego Duninowa. Noc przespałiśmy w pierwszej, napotkanej stodole. Następnego dnia Ojciec przy pomocy sołtysa rozlokował wszystkich po wygodniejszych kwaterach. Od rana słychać było w oddali odgłosy kanonady artyleryjskiej. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to już kres naszej wędrówki. Dopiero znacznie później zorientowałem się, że były to odgłosy bitwy pod Kutnem, która toczyła się po polach wzdłuż szosy biegnącej do Gostynina, zaledwie 30 km od nas. Kilka dni później, nocą, do wsi na motocyklach wkroczyli Niemcy. Rano na naszym podwórku pojawił się niemiecki oficer. Ojciec zgłosił mu obecność we wsi naszego konwoju ewakuacyjnego i oddał swoją bron krótką i ostrą. Nie ujawnił tylko swojego śrutowego karabinu myśliwskiego Winchester. Szkoda mu było tego cacka. Liczył, że zdoła go przemycić do Wyder. Z Niemcem wymienił też polską srebrną złotówkę na metalową jedną markę niemiecką, bo według Niemca taki teraz ma być kurs obu walut.

Zanim skończyło się oblężenie Warszawy i Ojciec uzyskał w niemieckiej Komendanturze Gostynina zezwolenie na nasze powroty na Pomorze, i zanim na targu w Gostyninie zakupił konia, paszę i wóz drabiniasty ze słomą, do naszego powrotu minęło ponad dwa tygodnie. Przez ten czas żyliśmy biednie w tym Klusku Białym, bo nasi gospodarze, choć ludzie mili i serdeczni, sami niewiele mieli. Nie byli przygotowani na żywienie takiej gromady niezapowiedzianych gości. I nie chodziło tu o pieniądze. Żyto nowe było jeszcze niezmielone, starej mąki brak, ziemniaki jeszcze w polu... Mama odkupiła od gospodyni worek kaszy „Pęczak”, na miejscu było mleko. Ta kasza z mlekiem, bez cukru, przez długi jeszcze czas potem, stanowiła podstawę naszego wyżywienia. Tylko dwa razy, chyba z okazji niedzieli, na naszą cześć stracił głowę jakiś kogut, a na obiadowym stole pojawiło się mięso i kartofle. Warzywa były dopiero wtedy, gdy Ojciec kupił je i przywiózł na rowerze z Gostynina.

POWRÓT DO WYDER

Na drogę powrotną nie obowiązywały już reguły transportu organizowanego podwodami. Każdy swój powrót do domu musiał sfinansować sam. I jak to zwykle, nie było jednomyślności co do tego czym, jakim kosztem, którą drogą i kiedy wracać na Pomorze. Stało na tym, że każdy organizował swój powrót sam. Naszym wozem zabrała się z nami, poznana tutaj pani, żona starosty z Nakła, która chciała dojechać do Bydgoszczy. Pani Klara Czajkowska, która dotąd podróżowała z nami, dołączyła teraz do innego wozu.

W drogę powrotną wyruszyliśmy chyba pierwszego października 1939 roku. Droga wiodła przez Gostynin, Kowal, Brześć Kujawski, Inowrocław, Bydgoszcz, Świecie, Drzycim, Spławie do Wyder. Podróż trwała blisko dwa tygodnie i przebiegała raczej spokojnie. Powoził Ojciec. Dopiero kilkanaście kilometrów przed Bydgoszczą spotkała nas niemiła przygoda. Było to nad wieczorem. Zatrzymało

nas dwóch Niemców w cywilu, w opaskach ze swastyką na rękawach i karabinami w rękę. Kontrola! Kto jedzie, skąd, dokąd, co wieziecie - no i rewizja ładunku. Trwało to ze dwie godziny. Zrobiło się już ciemno. Na wozie, na słomie zasnęła moja siostra Iza. Miała trzy latka! Mama prosiła, by przy rewizji nie ruszać dziecka. Niech śpi. Niemcy byli widać tutejsi, doskonale rozumieli Mamę, mówiąc po polsku. Dziecka nie ruszyli, ale długimi szpikulcami kłuli głęboko słomę pod dzieckiem. Wreszcie po wielokrotnym popisywaniu się przed Ojcem swoją władzą, wymachiwaniu mu karabinem przed oczami, zmęczeni się sami i pozwolili nam jechać dalej. Dopiero wtedy rodzice przyznali mi się, że pod spaniem Izy leżał rozłożony Ojca Winchester, owinięty tylko jakąś szmatą. Strach było pomyśleć, co by było, gdyby tak Niemcy ten karabin odkryli! Było już ciemno. Gdy tylko oddalenie od Niemców na to pozwoliło, Ojciec wydobył zawiniątko z karabinem i biegiem przez przylegające do szosy ściernisko, ukrył broń na skraju widniejącego za nim lasu. Twierdził potem, że miejsce zapamiętał, i byłby w stanie ją odnaleźć.

Do Wyder dojechaliśmy około dwunastego października po południu. Dom i gospodarstwo zastaliśmy w stanie nienaruszonym i zadbanym. Pomimo że umowny termin dzierżawy upłynął z koncern września 1939 roku, dzierżawca Bojko uznał z własnej woli szczególne warunki i pozostał na ochronie domu i obsłudze inwentarza, oczekując naszego powrotu. Dopiero w kilka dni po tym, po przekazaniu majątku i spraw Ojcu, wyprowadził się z budynku leśniczówki. Więcej go chyba nie widziałem.

Ojciec zgłosił natychmiast swój powrót telefonicznie do nadleśnictwa. Władze niemieckie poleciły leśnikom kontynuowanie pracy na dotychczasowych zasadach, do czasu otrzymania nowych wytycznych. Ojciec przystąpił zatem przede wszystkim do sprawdzenia lasu. Wkrótce odkrył zwłoki dwóch polskich żołnierzy. Jeden z nich zginął od kuli (chyba samolotu) na polanie zwanej „Pawłówka”, nad brzegiem Zalewu Żurskiego. Drugi owinął sobie podręcznym opatrunkiem kikut ręki po dłoni, urwanej odłamkiem bomby lotniczej, zaparł się mocno w pniach starej leszczyny na górze nad jeziorkiem „Gąsiorek Mały”, ułożył sobie karabin na kolanach i tak, pozorując czuwanie na stanowisku, zmarł z upływu krwi, oczekując zapewne pomocy jakiegoś sanitariusza. Obaj musieli zginąć trzeciego lub czwartego września 1939 roku, bo czwartego, Niemcy wkroczyli do Żura i Wałkowisk, a zapewne też do lasu Wyder. Przy pomocy swoich polskich robotników leśnych, Ojciec po cichu pochował obu żołnierzy w lesie, w pobliżu miejsc, gdzie zginęli.

Wkrótce po powrocie wybrał się Ojciec do Artura Bohma do Spławia z prośbą by ten, mając własny motocykl, pomógł mu odzyskać i przywieźć do Wyder pozostawioną pod Bydgoszczą broń. Artur przyjął Ojca w czarnym mundurze oficera SS. Odpowiedział: „Słuchaj Vogt. Jeżeli jesteś Niemcem, to idź na policję, złóż od-

powiednie oświadczenie⁷, a policja sama pomoże ci odzyskać utraconą broń. Nie będziesz musiał nawet tam z nimi jechać. Ale jeżeli nie, to daruj, dla Polaka czegoś takiego nie zrobię. A policję powiadomię, że tam gdzieś taka broń leży, by nie wpadła w niepowołane ręce”. Była to chyba ostatnia rozmowa Ojca z Arturem. Ojciec wyzbył się wszelkich złudzeń, a drogą sobie broń bezpowrotnie utracił.

W początku grudnia 1939 roku Ojciec dostał telegramem wiadomość o śmierci i pogrzebie swojej matki Emilii. Bez większych trudności otrzymał z Policji w Osiu zezwolenie i pojechał na pogrzeb do Warszawy. Przy tej okazji zawiózł nieco mięsa i wędlin na Święta do rodziców i brata Mamy. Spotkał się z siostrami. Dowiedział się też, że mąż starszej z nich, Zofii - porucznik Wojska Polskiego, był z wojskiem gdzieś pod wschodnią granicą i dotąd nie powrócił. Ojciec wrócił do domu przed samymi Świętami, bardzo przygnębiony obrazami zniszczeń i ulic okupowanej Warszawy.

Zima 1939/1940 była śnieżna. Na podwórkach leśnicówki wiatr nawiał zapy śniegu do wysokości płotu. Rodzice sami obrabiali swoje gospodarstwo i inwentarz. Noszenie opału, wody, ciepłej karmy dla zwierząt nie było w tych warunkach łatwe. Ale znacznie gorsza była niepewność dalszego losu. Zimowych robót w lesie tej zimy nie było. Z Nowym Rokiem zjawił się w Szarłacie nowy nadleśniczy, Niemiec, a wraz z nim drugi, na stanowisko inspektora leśnego. On to później w trybie doraźnych inspekcji nadzorował pracę leśników. Odwołany ze stanowiska nadleśniczy Polak, starszy już człowiek, usunął się tylko cicho w cień, i chyba przeżył wojnę⁸.

GAU WESTPREUSSEN

Wczesną wiosną 1940 roku ukazała się ustawa o przyłączeniu do Rzeszy Niemieckiej: Pomorza, Wielkopolski i Śląska oraz utworzeniu Generalnej Guberni Warszawskiej jako terytorium podporządkowanego administracji niemieckiej. Dla Pomorza powołano niemiecką jednostkę administracyjną „Gau Westpreussen” (Obszar Prusy Zachodnie) z siedzibą w Gdańsku. Na obszarze tym zaczęło obowiązywać prawo Rzeszy Niemieckiej (Reichu). Wynikające z tego zmiany dla naszego życia wówczas to wprowadzenie trzech kategorii obywatelstwa niemieckiego na ziemiach przyłączonych do Niemiec: reichsdeutsch, czyli rdzenny Niemiec, volksdeutsch – z narodu niemieckiego i eingedeutcht – zniemczony. Wszyscy inni mieszkańcy Pomorza, nie zakwalifikowani przez władze niemieckie do którejś z tych trzech kategorii (Polacy, Żydzi, Cyganie itp.) byli całkowicie pozbawieni jakichkolwiek praw obywatelskich. Ponadto, jako obowiązkowe pozdrowienie w miejscach publicznych nakazano zwrot: „Heil Hitler” (cześć Hitlerowi) z wyciągnięciem wyprostowanej prawej ręki pod kątem 135° przed siebie. Pozdrowienie to wkrótce sparafrazowali sami „cywile” niemieccy, zastępując je niedbałym machnięciem podniesionej prawej ręki i zwrotem „Hajtla”. Ale co

najmniej to obowiązywało. Żadnego „Guten Tag”, „Guten Morgen” (Dzień dobry) lub „Aufwiedersehen” (Do widzenia). Wszelka korespondencja musiała być zaadresowana w języku niemieckim. Korespondencja zaadresowana po polsku była po prostu wyrzucana do kosza.

Wkrótce po tym wprowadzono nakaz rozmawiania po niemiecku wszędzie w miejscach publicznych. Za mówienie po polsku na ulicy lub w sklepie można było „dostać w pysk”. Sprzedawcom w sklepach, na stacjach kolejowych, w lokalach, itp. nie wolno było obsłużyć zamówienia, wyrażonego w języku polskim. Dzieci rodziców, którzy otrzymali którąś kategorię obywatelstwa niemieckiego, miały obowiązek uczęszczania do niemieckiej szkoły, a po ukończeniu 18 lat, obowiązek służby wojskowej w wojsku niemieckim. Dodam tylko, że mieszkańcy „Gau Westpreussen”, którzy nie otrzymali łaskawie od władz którejś z tych trzech kategorii obywatelstwa niemieckiego, nie mieli praktycznie prawa do pracy, a co najwyżej do pracy najgorszej, i nie otrzymywali później żadnych kartek żywnościowych, gdy te, chyba od 1942 roku, zostały wprowadzone. Było to szczególnie dotkliwe dla mieszkańców miast. Dzieci takich rodziców nie miały prawa uczęszczać do żadnej szkoły, nie miały też „zaszczytu” służby wojskowej.

W początku kwietnia 1940 roku pod naszą leśniczówkę podjechał samochód osobowy. Wsiadło dwóch elegancko ubranych panów. Ojciec wyszedł przed dom. Zaczęli rozmowę bez ogródek: „Czekaliśmy dotąd, ale pan się u nas nie zjawił, więc to my przyjechaliśmy do pana. Panie Vogt, czemu nie składa pan wniosku o drugą kategorię obywatelstwa niemieckiego? Przecież jest pan Niemcem, wszyscy wokół o tym wiedzą!” Długo Ojciec tym przedstawicielom władzy tłumaczył, że nie jest i nie czuje się Niemcem. Że o żadną kategorię obywatelstwa niemieckiego nie ma zamiaru występować. Ma obywatelstwo polskie. A nazwisko odziedziczył po przodkach, nie czuł nigdy potrzeby jego zmiany na inne, o bardziej polskim brzmieniu. To nazwisko mu się podoba, ale należy ono do przeszłości, choć musi przyznać, że miał z nim wśród Polaków kłopoty. Rozmowa przebiegała spokojnie, na argumenty, bez pogroźek. Skończyła się tym, że panowie zostawili Ojcu jakieś papiery, by się nad nimi zastanowił i oświadczyli, że będą oczekiwali Ojca w Osiu w najbliższym czasie. Odjechali, a Ojciec głośno skomentował po polsku całe spotkanie: „Wasze niedoczekanie!” Nie docenił jednak przeciwnika. Po dwóch tygodniach został wezwany na policję w Osiu. Pojechał. Po kilku godzinach wrócił mocno wzburzony. Słyszałem, jak mówił do Mamy: „Niestety, ale musiałem podpisać”. Mama na to z wyrzutem: „Jak chcesz, ale ja niczego nie podpiszę”. Ojciec na to: „Ty nie musisz, ale ja jestem na posadzie państwowej, a tu podpisanie zgody jest warunkiem pozostania w pracy. Powiedziano mi brutalnie wprost - jeżeli pan nie podpisze, traci pan pracę, służbowe mieszkanie, dorobek całego życia. Wywieziemy pana z rodziną,



Boże Narodzenie w leśniczówce Wydry w czasie okupacji niemieckiej, w 1940 roku. Przy choince, Oskar i Halina Vogtowie oraz ich dzieci - Izabela i Andrzej. Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta

razem lub osobno, na roboty do Niemiec lub do obozu pracy (tak eufemistycznie nazywano późniejsze obozy zagłady), i po co to panu. Miejscowi Niemcy wysoko sobie pana cenią, my też nic przeciwko panu nie mamy, ale decyzja należy do pana". I komentarz Ojca do Mamy: „Nie mogłem przecież dobrowolnie skazywać Ciebie i dzieci na poniewierkę. Przecież to nie Wasza wina, że Polska przegrała wojnę, i to przy pomocy aliantów". Mama wreszcie jakoś zrozumiała niebezpieczeństwo, jakie nam wszystkim zagrażało, i pogodziła się z losem.

Ale dla Ojca było to okropne przeżycie. Wreszcie i on oswoił się z powstałą sytuacją. Nam dzieciom, a zwłaszcza mnie, bo Iza była jeszcze malutka, starał się potem przedstawiać sytuację w różowych barwach. Nie wiedział, że słyszałem Jego rozmowę z Mamą. Nie sprawdzałem nigdy Ojca dokumentów, ani też go o to nie pytałem. Sądzę, że został wtedy zmuszony do podpisania deklaracji na III kategorię obywatelstwa niemieckiego: „Eingedeutscht". Miał bowiem później takie same prawa, jak pozostali koledzy leśnicy i inni Polacy, którzy przyjęli tę niemiecką grupę narodowościową najniższej kategorii. Nie wiem też, czy i jakie oni przeżywali związane z tym skrupuły. Byłem wtedy zbyt małym dzieckiem, by ktokolwiek chciał ze mną dyskutowane na ten temat. Ale czy ja byłbym zdolny coś z tego zrozumieć? Jesienią 1946 roku wyjechałem z Pomorza i nie wiem, czy problemy te były tam w ogóle i w jaki sposób rozważane po wojnie. Faktem jest, że społeczeństwo Pomorza bez jakiegoś większego oporu, pozwoliło sobie narzucić te germanizacyjne poczynania Niemców.

Po tych wydarzeniach życie nasze potoczyło się na pozór normalnym torem. Ojciec organizował roboty i kierował pracami w lesie jak dotąd. Wizytujący go kilkakrotnie w roku niemiecki inspektor z nadleśnictwa, a czasem nawet sam nadleśniczy, nie byli zbyt dokuczliwi. Na ogół nawet sympatyczni. Tylko po wprowadzeniu nakazu rozmawiania w języku niemieckim, mieli zastrzeżenia, co do używania języka polskiego przez robotników, ale i przez Ojca w lesie. Upomniany przez zwierzchników, odpowiedział, w obecności swoich robotników Niemców, że miał takie problemy już przed wojną tyle, że wtedy o rozmawianie w lesie z robotnikami po niemiecku. Natomiast rozporządzenie Gauleitera (Kierownika Obwodu) nakazuje rozmawiać tylko po niemiecku w urzędach, w sklepach i na ulicy. Nie mówi nic o polu, lesie i domu. Tu niemieckie zdyscyplinowanie kazało zwierzchnikom zamilknąć. Do sprawy już nigdy nie wrócili. Przywrócono też Ojcu prawo posiadania i używania broni myśliwskiej.

W gospodarce leśnej nowością było zbieranie żywicy z drzew przeznaczonych zimą do zrębu. Do zestawu oprzyrządowania leśnego doszły narzynki do wycinania rowków w pniach drzew, blaszane rynienki do odprowadzania spływającej żywicy i gliniane doniczki do gromadzenia spływającej żywicy. Zebraną żywicę zlewano z doniczek do beczek, w których odstawiano ją do fabryki, podobno na terpentynę. Inną nowością był obowiązek budowy karmników i dożywiania

zwierząt leśnych w okresie zimy. Nadleśnictwo przeznaczało określone fundusze na ten cel, a za prawidłowe ich wykorzystanie odpowiedzialny był leśniczy. Zimą roku 1941 i 1942 roku Ojciec musiał też zorganizować polowanie z nagonką. Rozstawiał myśliwych na stanowiska i kierował pracą nagonki. Sam nie brał udziału w polowaniu. Nie zostali też na nie zaproszeni leśnicy, koledzy Ojca. Do udziału w polowaniu dopuszczeni zostali tylko Niemcy, zaproszeni przez nadleśniczego z okolicznych majątków ziemskich i urzędów. Nie było też uroczystego przyjęcia myśliwych po polowaniu w leśniczówce. Gorący bigos z chlebem był rozdany gościom z kotła na leśnej polanie. Gdy łów był obfity, a myśliwi zadowoleni, leśniczy – organizator polowania dostawał w nagrodę zającą. Zimą 1943 roku polowania nie było. Po Stalingradzie nie wypadało?

W okresie okupacji leśnicy Polacy nie nosili mundurów służbowych. Przyjmując za wzór strój leśny, jaki nosili jego dziadek i ojciec, gdy kiedyś byli leśnikami w lasach prywatnych, Ojciec mój ubierał się do pracy w lesie w cieplejszą lub lżejszą ciemnozieloną wiatrówkę, z zapinanymi kieszeniami na piersiach i po bokach. Na głowie nosił takież ciemnozielony filcowy kapelusz z pędzelkiem z włosia dzika, umocowanym po lewej stronie, za szarfą. Zimą zakładał na to polski płaszcz wojskowy, z guzikami rogowymi. W samym lesie Wyder okres wojny nie przyniósł jakichś większych szkód.

GOSPODARSTWO PRZY LEŚNICZÓWCE

W latach 1940-1944 gospodarstwo rolne leśniczówki prowadzili moi rodzice sami, najmując tylko robotnika na przychodne do obsługi inwentarza oraz fizycznie cięższych prac gospodarczych. Ze wsi wynajmowany był również sprzęt, konie i ludzie do orki, zasiewów, koszenia i zbiorów oraz młócki zbóż i transportu. Sam Ojciec musiał teraz poświęcać więcej czasu gospodarstwu rolnemu leśniczówki. W latach wojny wydajność tego gospodarstwa miała istotne znaczenie dla wyżywienia rodziny, i nie tylko. W 1942 roku Niemcy wprowadzili kartki żywnościowe dla miast oraz obowiązkowe dostawy produktów z gospodarstw rolnych. W naszym przypadku dostawy obowiązkowe objęły określone ilości zboża, ziemniaków, świń i jajek. Obok tych dostaw, jak mi później Matka powiedziała, bo wówczas dzieciom się takich rzeczy nie mówiło, pewne ilości żywności przekazywane były, już dobrowolnie, gdzieś (dokąd, to nawet Mama nie wiedziała) na wyżywienie ludzi, którzy z różnych powodów ukrywali się po miastach przed władzami niemieckimi, a nie otrzymywali przecież żadnych kartek żywnościowych. Skojarzyłem sobie teraz, że chyba w 1942 roku nawiązana została bliższa znajomość mojego Ojca z młynarzem Plinskim, właścicielem młyna wodnego w Żurze, poniżej elektrowni. Znajomość ta rozwinęła się z czasem w przyjaźń. Kilkakrotnie byliśmy rodziną goszczeni w prywatnym domku

młynarza, a ja przy którejś okazji miałem sposobność zwiedzić młyn wodny i zapoznać się z zasadami jego działania. I chyba ten młynarz i jego młyn, był właśnie skrzynką kontaktową przekazu rolnych produktów spożywczych z okolicznych zapewne wsi – przecież nie tylko z Wyder – chyba do Świecia. Konne przewozy ziarna do przemiału, a potem mąki, mogły doskonale maskować przewóz i innych produktów.

TOLEK DEZERTER

Wiedzę o wydarzeniach na świecie Ojciec brał z prenumerowanej dla leśniczych chyba przez nadleśnictwo, niemieckiej gazety codziennej „Voelkscher Beobachter” (Obserwator Narodowy) oraz z radia, przestrojonego teraz na falę „Deutschland-sender” („Radio Stacja Niemcy”). Dopiero w początku 1942 roku udało się Ojcu zakupić w Świeciu amatorsko zbudowane radio na fale krótkie, na którym przy stosownej pogodzie mógł wieczorami słuchać Londynu lub Moskwy, na najwyższym piętrze budynku leśniczówki i przy odpowiednio wystawionej antenie. Wtedy też przychodzili czasem wieczorami przyjaciele z elektrowni by posłuchać zagranicy. Nad bezpieczeństwem słuchaczy czuwał na dworze pies Dzikus.

W połowie sierpnia 1943 roku przyjechał do Wyder znajomek Ojca ze Świecia z 20-letnim młodzieńcem. Chłopak jest w wojsku niemieckim. Był przez rok na przeszkoleniu we Francji. Teraz dostał trzy tygodnie urlopu i jest w domu. Po urlopie ma pojechać do jednostki gdzieś na front wschodni. Nie chce. Zamierza zdezerterować. Znajomek prosi Ojca by ukrył chłopca w Wydrach przez zimę, a w międzyczasie przyjaciele ze Świecia znajdą mu jakieś dalsze kontakty, umożliwiające przetrwanie do końca wojny. Mama była niechętna. Nie chciała podejmować ryzyka. Ale Ojciec, pomny wciąż niewyraźnej swojej pozycji w polskim społeczeństwie Pomorza, nie chciał jej jeszcze pogorszać brakiem współdziałania ze środowiskiem w rozwiązywaniu jego trudnych problemów. Przekonał Mamę. Panowie od razu zostawili dużą paczkę z cywilnym ubraniem dla przyszłego dezertera.

Po kilkunastu dniach, nocą przyszedł do leśniczówki Tolek, tak miał na imię dezerters. Jego nazwiska chyba nigdy nie znałem. (Dużo później, po wojnie, dowiedziałem się, że nosił nazwisko Wendołowski). Ojciec wpuścił go na umówiony sygnał, i zakwaterował w pokoju na piętrze, nie używanym przez nas. Pokój ten miał dwa okna, skierowane na wieś Wałkowiska i z daleka widać było zapalone w nim światło. Był to jednak jedyny pokój, ogrzewany drzewem w piecu, do którego nie wchodziły zimą dzieci. Zapewniało to zachowanie tajemnicy. Tolek nie mógł tylko używać światła elektrycznego, by nie zwracać uwagi otoczenia. Wodę do mycia, wiadro ze zlewkami i wypróżnieniem oraz drzewo na opał, dostarczał mu Ojciec, a jedzenie Mama lub Ojciec. W tym czasie nikt u nas nie pracował. Ojciec sam obrabiał inwentarz i dom, i nikt obcy po obejściu ani po domu, się nie kręcił. Pies poznał Tolka i uznał za „swojego”, Tolek tylko w nocy mógł

wychodzić na powietrze, na podwórze lub do lasu i to pod ochroną psa, który zawsze sygnalizował zbliżanie się kogoś obcego.

Konspiracja była tak dobra, że my dzieci, dowiedzieliśmy się o Tolku dopiero w końcu listopada, po trzech miesiącach. Wykryła go całkiem przypadkowo moja siostra Iza, gdy przy pierwszym śniegu weszła na górę po sanki. Tolek usłyszał jakieś nietypowe odgłosy kroków dziecięcych i przez ciekawość, nieostrożnie uchylił drzwi pokoju i wyrzwał na podest góry. Natychmiast potem się schował i domknął drzwi pokoju. Ale Iza go zauważyła i co ciekawsze, rozpoznała! Bez popłochu zabrała z przygórka obok swoje sanki i spokojnie zeszła na dwór. Dopiero tutaj powiedziała do mnie: „W pokoju na górze jest ten pan, co był u nas latem”. Ja nawet nie pamiętałem, że ktoś był. Poszliśmy z tym odkryciem do Mamy. No i wszystko się wydało. Mama opowiedziała nam całą historię, uprzedziła też o niebezpieczeństwie, jakie zagrażało nam wszystkim, gdyby ktoś obcy się o Tolku w naszym domu dowiedział. Przyrzekliśmy oboje solennie dochować tajemnicy. Tolek został nam przedstawiony. Odtąd jego życie w leśniczówce stało się łatwiejsze. Przebywał w dzień i wieczorami z nami, w naszym mieszkaniu na parterze. Nie musiał już wieczorami siedzieć na górze sam, po ciemku. Chyba, że wyjątkowo pojawił się u nas jakiś gość. Ale gości wówczas raczej już nie zapraszaliśmy, by nawet przypadkiem czegoś nie zauważyli. Tolek jadł teraz z nami posiłki, pomagał potem Mamie pozmywać. Polubiliśmy go i traktowaliśmy go jak członka rodziny. Opowiadał nam różne historie, bawił się z nami. A wierny Dzikus strzegł naszego bezpieczeństwa. Nawet do okien pokoiów nikt obcy nie mógłby podejść. A wieczorem okna parteru były zawsze zasłaniane okiennicami, zamykanymi od wewnątrz.

Wspólnie z Tolkiem spędziliśmy też święta Bożego Narodzenia 1943 roku i Nowego Roku 1944, życząc sobie wzajemnie rychłego zakończenia wojny. Rozrzewniony sytuacją, Tolek opowiedział nam któregoś dnia jak to kiedyś, w czasie służby wojskowej we Francji, przyśniła mu się w nocy nie żyjąca już od kilku lat jego matka, która przestrzegała go słowami: „Nie idź do lasu”. Tolek pod słowem „las” zrozumiał „Rosja” i wtedy postanowił uciec z wojska.

ANTEK WERNER

W połowie kwietnia 1944 roku z wizytą do Ojca zamówił się Antek Werner, 20-letni, najmłodszy z trzech synów Jana Wernera, technika elektryka, pracującego od dawna w Elektrowni. Chłopcy Wernera znali się z bliźniaczym rodzeństwem mojej Mamy, z ich pobytów na wakacjach we Wydrach przed wojną. Antek był dla Ojca bliskim znajomym. Teraz był na urlopie z wojska. Antek Werner był też szkolnym kolegą Tolka z gimnazjum w Świeciu. Gdy ten dowiedział się od Ojca o zapowiedzianej wizycie, chciał koniecznie móc przysłuchiwać się rozmowie, nie ujawniając się. Ojciec się zgodził i przed spotkaniem Tolek ukrył się za komodą, stojącą na ukos w pokoju. W czasie rozmowy, gdy Antek oświadczył

Ojcu, że chce dezertować z niemieckiego wojska i prosi o pomoc w znalezieniu mu kryjówki w lesie Wydry, Tolek nie wytrzymał i ujawnił się, dołączając się do prośby Antka. Pójdą do lasu razem, we dwóch. Zapomniał Tolek o przykazaniu matki we śnie!

Przygotowania potoczyły się teraz szybko. W czwartek 20 kwietnia 1944 roku (było to niemieckie święto narodowe – wszędzie wisały „Fahny” – flagi ze swastyką) zostałem wysłany rowerem do Świecia z listem Tolka do jego ojca. Adres kontaktu był poufny i potem kazano mi go zapomnieć tak skutecznie, że nie mogę go sobie przypomnieć do dziś. Ojciec Tolka wystąpił też tylko pod imieniem, bez nazwiska. List przeczytał, popłakał się biedny nad nim, i odpisał. Ja dostałem jeszcze obiad, schowałem list i pojechałem do domu. List oddałem Tolkowi.

Ojciec mój wyszukał miejsce na biwak chłopców w starym lesie świerkowym, nad wąskim, prawie niewidocznym, sączącym się w igliwiu strumykiem, ciekącym od jeziora Sławno, przez bagno, do Zalewu Żurskiego. Miejsce było odludne w oddziale, który wówczas był ostoją zwierzyny (dzisiaj jest to oddział 245). Upłynęło jeszcze kilka dni i Tolek niespodziewanie dla mnie znikł z leśniczówki. Zapewne w tym samym czasie Antek uciekł z pociągu, wiozącego go na front wschodni. Było to w ostatnich dniach kwietnia 1944 roku. Żywność dostarczał Ojciec potem chłopcom do różnych, umówionych schowków w lesie. W ich obozie nigdy nie był.

Nie zauważyliśmy nic niebezpiecznego w tym, że nowo zatrudniony w Elektrowni inżynier, z energicznym zapałem zaczął zwiedzać las Wyder. Każdego dnia po pracy wędrował ścieżką przez pole i drogą obok naszej leśniczówki, grzecznie pozdrawiając nas, gdy byliśmy akurat przed domem. Nikomu z nas nie przyszło nawet do głowy, że to może być gestapowiec! Któregoś kolejnego dnia w początku maja, spotkała mnie na szosie do Osia jakaś pani. Spytała, czy to ja jestem Jacek Vogt? Potem przedstawiła się jako Marysia i poprosiła: „Powiedz Ojcu, żeby był na spotkaniu u mnie we czwartek o 17-tej. Będzie pan z Gdańska”. Gdy to Ojcu powtórzyłem przy Mamie, wybuchła awantura: „Prosiłam, byś ten kontakt przerwał. Ja do tych ludzi nie mam zupełnie zaufania, i nie chcę z tym mieć nic wspólnego!” Ojciec jednak poszedł. Pan z Gdańska przedstawił się zebrany jako delegat gdańskiej organizacji polskiej, która przygotowuje „lewe” dokumenty dla osób ukrywających się przed władzami niemieckimi, by im ułatwić przetrwanie zbliżających się do Pomorza działań wojennych. Był tak przekonujący, że ludzie bez wahania informowali go, gdzie i kogo ukrywają. Nie żądał nazwisk, potrzebne mu były tylko zdjęcia do tych fałszywych dokumentów. Umówili się, że zdjęcia zostaną przygotowane na kolejny termin. Gdy Ojciec nikogo nie zgłosił, „delegat” zwrócił się do niego wprost: „Pan jest leśniczym. I nie ukrywa Pan nikogo ani w domu ani w lesie? Dziwne!” A Ojciec na to głośno: „Moja żona jest przeciwna i nie chce z tym mieć nic wspólnego”. Nie wiedział, że tymi słowami uchronił Mamę i dzieci od możliwych nieszczęść.

„OBAJ CHŁOPCY NIE ŻYJĄ”

W sobotę, 20 maja 1944 roku zbudziło nas o szóstej rano głośne walenie w drzwi wejściowe. Ojciec otworzył. „Gestapo, ręce do góry. Gdzie ma pan broń? W ostatnim pokoju. W porządku. Proszę o mapę lasu”. Weszli do kancelarii. Gestapowiec zapytał: „Gdzie jest Anton Werner?” Ojciec na to: „Nie wiem. Był u mnie z wizytą ponad miesiąc temu. Miał po urlopie pojechać na front. I pewnie pojechał.” A gestapowiec: „Pojechał, ale nie dojechał. Powiem panu, Anton Werner jest tu!” - i położył palec na mapie lasu dokładnie na oddziale, w którym byli ukryci chłopcy. Ojciec nie musiał udawać zdziwionego. Był autentycznie zaskoczony. To chyba przekonało Niemca. A Ojciec nie powiedział mu przecież, że o miejscu ukrycia chłopców wiedział tylko on i chłopcy. Kto sygnął? Rozmowa przebiegała w spokojnym tonie. Gestapowiec nie był napastliwy, był wręcz grzeczny. „Proszę się ubrać i coś zjeść. Pojedzie pan z nami do lasu.” Poszedł za Ojcem do pokoju, zabrał broń i amunicję, wyniósł do samochodu osobowego, czekającego przed bramą. Ojciec szepnął Mamie, że wpadka. Wyjrzał przez okno. Dom i budynki gospodarcze patrolowało kilku żołnierzy. Ale nie było żadnej rewizji. Nic nie zostało naruszone. Również nikt o nic nie pytał ani Mamy, ani nas, dzieci. Nie zdawaliśmy sobie wtedy sprawy z tego, że jak na obyczaje Gestapo, zachowanie Niemców było dziwne. Wobec tego my z Mamą zachowywaliśmy się też tak, jakby to była tylko jakaś nagła, niezapowiedziana wizyta, jakby nic się nie stało. Ojciec się ubrał, zjadł śniadanie. Gestapowiec przyjął też od Mamy szklankę gorącego mleka jako poczęstunek. Zostawił potem, na straży leśniczówki dwóch wojskowych, zabrał Ojca i pojechali do lasu. Mamie dopiero wtedy puściły nerwy, rozplakała się: „Oni go w lesie rozwalą!” Nie mieliśmy też żadnego sposobu, by zawiadomić chłopców o grożącym im niebezpieczeństwie. Mama poprosiła mnie tylko, bym w małych okienkach pierwszego piętra wystawił przygotowane tam doniczki z kwiatkami, jako umówiony z lasem sygnał, że do leśniczówki nie można teraz przychodzić. Ostrożnie poszedłem na górę, ale żołnierz, który siedział na ganku, nawet się za mną nie obejrzał! Wartownicy nie przeszkadzali też potem, gdy Mama poszła do obory wydoić i nakarmić ryczącą krowę oraz nakarmić głodne świnię i drób.

Ja usiadłem na ganku naprzeciwko wartownika. Gdy około godziny jedenastej doszły nas z lasu odgłosy strzałów z automatu, wprawdzie gdzieś dalsze, a potem podobna seria nieco bliżej zapory - zapytałem żołnierza naiwnie: „To polowanie?”, „Nie, to walka z partyzantami.” – odpowiedział żołnierz. „Partyzanci w naszym lesie? Nigdy takich nie widziałem. Jak oni wyglądają?” Żołnierz zaczął mi coś opowiadać, ale ja już wiedziałem, że Niemcy obu chłopców dopadli. Powiedziałem to Mamie. Minęły jeszcze ze trzy godziny. Mama zrobiła nam jakiś obiad. Wreszcie gestapowiec z Ojcem wrócił. Powiedział Mamie po polsku, że pani mąż musi z nami teraz pojechać do nas na kilka dni. Musimy kilka spraw

jeszcze wyjaśnić. Proszę dać mężowi obiad i przygotować mu zamienną odzież i bieliznę na te kilka dni. Nadał wszystko w grzecznym, uprzejmym, choć stanowczym tonie. Ojciec się ogolił, przebrał. W pokoju szepnął tylko Mamie: „Obaj chłopcy nie żyją”.

Mama pobiegła na wieś do znajomych. Dowiedziała się tam, że tego ranka Gestapo aresztowało i wywiozło z domów wiele rodzin z Osia, Brzezin, Wałkowisk, a podobno też ze Świecia. Ale jak się Mama zorientowała, było to pokłosie wizyty sprzed kilku dni pana z Gdańska. Ze znanych Mamie osób aresztowano całe rodziny tych, którzy na spotkaniu „u pani Marysi” zgłaszali potrzebę „lewych” dokumentów. Prawdopodobnie deklaracja Ojca na tym spotkaniu, że „Moja żona jest przeciwna i nie chce mieć z tym nic wspólnego”, uratowała nas, Mamę i dzieci, przed aresztowaniem i wywózką. Natomiast obława w lesie na naszych chłopców, to była inna akcja, tyle, że została zsynchronizowana, by nie ostrzec innych.

Ojciec zapewne nigdy już nie dowiedział się, jaka była przyczyna wpadki i śmierci obu chłopców. Nie rozmawiałem z nim o tym nigdy potem. Zapewne tak, jak my z Mamą sądził, że na ich trop natrafił znany nam „wieczorny spacerowicz”, który po 20 maja całkiem znikł. O rzeczywistym przebiegu wypadków dowiedziałem się dopiero w maju 1945 roku od chłopców z Wałkowisk. Otóż, Antek Werner miał we wsi, w Wałkowiskach dziewczynę, a może od niej też swoją żywność. Zachodził do niej nocami drogą przez zaporę. Obok dziewczyny miał gospodarstwo Niemiec, którego syn służył w policji w Osiu. A ten syn też podkochał się w tej samej dziewczynie. Zauważył Antka w nocy i bardziej chyba z zazdrości, niż ze służbowego obowiązku, zameldował sprawę na posterunku. Kolejnej nocy za Antkiem poszli w las zwiadowcy Gestapo i lokalizacja obozu chłopców została zdekonspirowana. Niemcy wiedzieli już, gdzie jest obóz, nie wiedzieli jednak, ilu w nim jest ludzi. Do obławy 20 maja przywieźli do lasu, drogą przez Sławie, ponad dwadzieścia ciężarówek wojska. Dwa sąsiadujące ze sobą odziały lasu, zostały nad ranem ściśle otoczone. Co kilka metrów stał zamaskowany żołnierz z MP Schmeisserem w ręku. Mysz nie mogłaby się prześlizgnąć! Taki stan gotowości bojowej widział też mój Ojciec, gdy z gestapowcem zajechał do lasu, jeszcze przed rozpoczęciem akcji. Modlił się w duchu, by chłopcy sami zauważyli nocny ruch w lesie i zdążyli usunąć się z obszaru, objętego obławą. Ojciec nie miał już żadnej możliwości zaalarmowania chłopców. Nie mógł np. spowodować jakiegoś przypadkowego wystrzału, bo nie miał broń. Gdy o godzinie dziesiątej ruszyła tyraliera obławy od strony osady Grzybek, chłopcy być może jeszcze spali. Nie byli przygotowani na taką ewentualność. Nie trzymali służby wartowniczej. Nie mieli też koncepcji obrony. Nie podjęli jej, choć mieli broń i nieco amunicji. Zabrakło dowódcy. Jak zające rozbiegli się w dwie różne strony, i jak zające zginęli przy próbie przeskoczenia, linii obławy.

Antek zginął pierwszy, na zachodniej, a po kilkunastu minutach po nim Tolek, na wschodniej linii oddziału. Obława trwała jednak dalej. Wprawdzie po znalezieniu miejsca biwaku, Niemcy już wiedzieli, że „partyzantów” było w nim niewiele. Ale nie byli pewni, ilu. Obstawione oddziały lasu skrupulatnie przeczesali do końca. Dopiero po zakończeniu akcji zaprowadzili Ojca kolejno do zwłok, celem identyfikacji zabitych. Ile on biedny musiał się przy tym naciерpieć. A przecież nie mógł po sobie dać poznać Niemcom, że łączyły go z zabitymi jakieś związki emocjonalne. Antka Wernera potwierdził. Nie mógł przecież inaczej. Przy Tolku z bólem serca, ale z obojętnym wyrazem twarzy oświadczył, że tego człowieka nie zna. Jak mi później powiedział, obaj chłopcy otrzymali z serii automatu po trzy trafienia trzema pociskami: po oczach, po piersiach i w brzuch! Ojciec stwierdził, że musiał to być wyćwiczony sposób trafiania w cel. Potem zaprowadzono Ojca jeszcze na miejsce biwaku chłopców. Było tam trochę porozrzucanych w nieładzie ich rzeczy, ale nic takiego, z czego Niemcy mogli wywnioskować źródła zaopatrzenia chłopców. Był tam też wprawdzie tzw. „prymus”, opalany denaturatem, który Ojciec przed wojną używał do gotowania potraw na wycieczkach kajakowych, a teraz podarował Tolkowi do lasu - ale nie miał on żadnych znaków, wskazujących właściciela. A Niemcy nie znali przecież historii prymusa.

Zakochany policjant z Wałkowisk brał udział w akcji. Zadbał o swoje interesy. Dziewczyny nie wyspał. Teraz zdołał być przy zakopaniu zwłok Antka. Wskazał potem dziewczynie to miejsce w lesie. Chyba nawet ją tam zaprowadził, by przekonać! Po wyzwoleniu Żura i Wałkowisk 15 lutego 1945 roku, dziewczyna poszła do rodziców Antka. Opowiedziała im to, co sama wiedziała i wskazała miejsce zakopania zwłok. Zwłoki Antka zostały ekshumowane w kwietniu 1945 roku i złożone do grobu na cmentarzu w Osiu. Zwłok Tolka nigdy nie odnaleziono.

BEZ OJCA

Po dwóch tygodniach od zabrania Ojca, Mama wysłała mnie do gdańskiego Gestapo z paczką dla Ojca, zmianą bielizny i żywnością. Zaryzykowała też gryps i zapieczętowanie w chlebie kartki papieru i skrawka ołówka na odpowiedź! Pojechałem z jakąś panią, która też miała kogoś ze swoich w gdańskim Gestapo. Zaprowadziła mnie tam i udzieliła kilku wskazówek co do sposobu zachowania się na miejscu.

Oddałem paczkę w okienku. O ukrytej w niej korespondencji nic nie wiedziałem, nie denerwowałem się nawet. Po południu odebrałem przesyłkę od Ojca i pociągami, już po nocy, wróciłem do domu. Zwrócona bielizna Ojca nie była pokrwawiona, a gryps uspokajający. Nabraliśmy otuchy. W podobny sposób odwiedziłem Gdańsk znowu po dwóch tygodniach, tym razem już sam, bez „pilotki”. Wynik był podobny. Gdy jednak pojechałem do Gdańska po raz trzeci, gdzieś

około piątego lipca 1944 roku, w okienku Gestapo paczki mi nie przyjęto! Adresata tutaj nie ma! Rozpłakałem się, gdzie jest mój tata?

Mam tu dla niego świeżą bieliznę. Jest mu potrzebna! Gestapowiec z okienka popatrzył na mnie. Może rzadko miewał takich małych interesantów. Usiadł tam, wskazał kąt na ławce, i poczekaj. Ale mojej paczki nie wziął. Czekam zatem, może mi powie, gdzie z tą paczką znajdę Ojca. Przysiadł się do mnie na ławce po dalszych dwóch godzinach. Był w cywilu, a poczekalnia przed okienkiem była pusta. „Nie mogę ci powiedzieć, gdzie teraz jest twój ojciec. Ale powiedz matce, by się nie martwiła. Wasz ojciec w niedługim czasie wróci do domu”. Była to wiadomość z nieba. Nie pamiętam, czy Niemcowi za nią podziękowałem. Nie myślałem już o paczce. Popędziłem jak na skrzydłach do pociągu. Potem jeszcze zostawiłem w nim nową czapkę. Dopiero w pociągu naszły mnie wątpliwości. Czy on mi mówił prawdę? Ale rzeczywiście, 22 lipca 1944 roku nad ranem, Ojciec przyszedł do domu, do Wyder. Radość nasza z jego powrotu stłumiła wszelkie wątpliwości: jak to i dlaczego? Wkrótce zresztą Mama otrzymała wiadomość, rozpuszczoną po okolicy, że Ojciec został zwolniony z Gestapo na skutek poręczenia, jakie za niego złożyli miejscowi Niemcy i nadleśniczy z Szarłaty.

Ojciec przybył jednak na krótko. Spieszył się bardzo, bo pilnie musiał objąć nowe leśnictwo w Tępczu, powiat Wejherowo. Ostatni leśniczy tego leśnictwa został niedawno aresztowany przez Gestapo za współpracę z „partyzantami”, ukrywającymi się w tamtym lesie. Ich przywódcą był miejscowy Kaszub, mąż właścicielki sklepu w wiosce Tępcz, były pułkownik SS, który niedawno zdezerterował i ukrył się w lesie. Leśniczego aresztowano i wywieziono do obozu Stutthof (Sztutowo koło Gdańska), ale poszukiwanego bunkra nie ujawnił i nie został on dotąd odnaleziony. Niemcy oczekiwali, że nasz Ojciec im ten bunkier w lesie znajdzie! Nie pytałem nigdy Ojca, co robił w tym Gestapo. Z perspektywy czasu uważam, że zrobiono mu tam potężne „pranie mózgu”. Był przerażony i zastraszone. Opowiedział nam swoje przeżycia w lesie z 20 maja. Powiedział mi, gdzie zginął każdy z chłopców. Widział tylko, w którym miejscu zaczęto kopać dół dla Tolka. Zapamiętał je sobie, lecz nie chciał pójść tam ze mną do lasu, by mi to miejsce wskazać. Bał się, że jest śledzony. A ujawnienie jakiegoś Jego zainteresowania właśnie tym miejscem, mogłoby skierować śledztwo Gestapo na nowe, niepożądane dla nas tory. Umówiliśmy się, że pójdziemy tam po wojnie. Przecież tu wrócimy!

Ojciec miną nadrabiał przy Mamie, nie chciał jej smucić. Ale tak naprawdę był swoją sytuacją przerażony. Gdy do wyjazdu do Tępcza ja sam odprowadzałem Go do „Koziego mostku”, zatrzymał, mnie w połowie przekraczanej łąki: „Jacku, gdyby mi się coś stało, to zaopiekuj się Mamą! Przysrzeknij mi”. Przysrzekłem. Ale pomyślałem sobie: „A cóż takiego może mu się stać?” Ta nasza optymistyczna ufność w przychylny wojennego losu, była wręcz naiwna. Ojciec odjechał,

a Mama została z nami znów sama na gospodarstwie. A trzeba było zbierać zboże z pola, zwieźć je, wymłócić. Zwolnienie Ojca z Gestapo, zdjęto z nas odium „niepewnych”. Ludzie ze wsi przestali bać się udzielać Mamie pomocy, czy po dawnemu przyjść do nas do pracy w polu. Jakoś Mama podołała trudnościom.

BLISKO OJCA

Około 12 sierpnia Ojciec przyjechał z Tępcza do Wyder. Tymczasem, dotarły do nas wieści o Powstaniu w Warszawie oraz o tym, że Armia Czerwona dotarła na przedpola Warszawy. W obawie, że w czasie zbliżających się działań wojennych, pozostanie sama z dziećmi w odludnej leśniczówce, Mama wystąpiła z wnioskiem, że chciałaby wyjechać do męża do Tępcza. Nadleśniczy obiecał, że postara się sprawę załatwić. Ojciec odjechał. Zabrał ze sobą swój rower. Wkrótce uzyskałem też potwierdzenie zgody wyjazdu od Wójty gminy Osie. Spakowaliśmy nasze osobiste rzeczy, narty i psa Dzikusa, i około 10 października 1944 roku wywędrowaliśmy pociągiem z Osia.

Nowy Rok 1945 spędziliśmy z Ojcem w Luzinie. Znowu ożyły nadzieje na rychły, szczęśliwy dla nas koniec wojny i tęsknota za powrotem do Wyder. Potem Ojciec wrócił do Tępcza i życie potoczyło się względnie normalnym torem. Odgłosy narastającego piekła wojny do lasu w Tępczu nie dochodziły. Natomiast w Luzinie narastanie nieszczęść zbliżających się działań wojennych, widoczne było gołym okiem. Najpierw transporty rannych z frontu pociągami sanitarnymi, a lżej rannych - również zwykłymi pociągami osobowymi, zatrzymywały się na stacji w Luzinie. Nabierały tu wodę i żywność. W dawnej fabryce kosmetyków w Luzinie, wyposażonej we własną bocznice kolejową, Niemcy założyli duży magazyn cukru i konserw mięsnych. Potem przelała się duża fala uciekinierów niemieckich z Prus Wschodnich. Pociągami osobowymi i towarowymi, bryczkami i wozami po szosie, wiali z obłędem w oczach, aż się za nimi kurzyło. Trudno się cieszyć z cudzego nieszczęścia, ale wspomnienie obrazów z polskich dróg, bombardowanych wówczas obficie przez lotnictwo niemieckie, nie pozwoliło wzbudzić w nas współczucia. Tutaj na nich nie spadały jeszcze na razie bomby. O wydarzeniach tych informowaliśmy Ojca co tydzień, gdy na niedzielę przyjeżdżał do Luzina. Od niego zaś nie słyszałem już żadnych nowych, niepokojących wieści.

ŻEGNAJ TATUSIU

Aż tu niespodziewanie, gdzieś na przełomie stycznia i lutego 1945 roku, zjawił się u nas Ojciec w połowie tygodnia. Nikt z nas nie zapisał wówczas daty tego wydarzenia. Otóż Ojciec dostał wezwanie do stawienia się w Komendanturze Miasta Wejherowa do zadań obrony. Ma zabrać ze sobą odpowiednią odzież oraz żywność na dwa dni. Broń i amunicję ma tam zdać. Ojciec zadzwonił do



Halina Vogtowa z dziećmi: Izą i Andrzejem na ławce obok ganku leśniczówki Wydry, w lipcu 1943 roku. Fot. archiwum Andrzeja Jacka Fogta

nadleśnictwa, licząc na jakąś reklamację. Od nadleśniczego otrzymał niestety odpowiedź, że w tej chwili wszystkie decyzje osobowe należą już tylko do władz wojskowych. I co miał zrobić? Na tym terenie był „obcy wśród obcych”. Nie miał gdzie się schować. Obawiał się też, że jeżeli nie podporządkuje się żądaniu władz niemieckich, to konsekwencje odbiją się nieszczęściem na jego rodzinie: żonie i dzieciach. Takim argumentem był przecież szantażowany od połowy ubiegłego roku przez gdańskie Gestapo. A właśnie takiego losu chciał nam za wszelką cenę oszczędzić. Przywiózł do nas swój rower, plecak i dubeltówkę w futerale wraz z amunicją. Pocieszał nas: nie martwcie się o mnie. Ja sobie radę dam. Będę miał zawsze moją mapę-sztabówkę Pomorza przy sobie i jak tylko w szeregi wojsk niemieckich wkradnie się jakiś bałagan, lub trafi mi się inna okazja, to im zwierzę. Znam przecież też język rosyjski. Był pełen dobrych nadziei i wiary w swoją szczęśliwą gwiazdę. Nam zaś zalecił, byśmy w razie potrzeby schronili się w „młynie” w Tępczu. „Młynarz” jest umówiony i w razie potrzeby udzieli nam pomocy. Przespał się u nas, a rano pożegnał się z nami czule i pojechał pociągiem do Wejherowa.

I tu wszelki ślad po Nim zginął. Mama dostała tylko potem od kogoś wiadomość, że w tych dniach Niemcy zgarniali ludzi do brygad paramilitarnych do prac ziemnych, budowlanych i transportowych. Nikt tam jednak Ojca nie znał i Go nie zauważył. „Żegnaj Tatusiu. Kochaliśmy Cię wszyscy bardzo. Długo tęskniliśmy i czekaliśmy na Ciebie. Nie wiemy nawet, gdzie Twój grób. Niech to opowiadanie stanie się Twoim pomnikiem.”

Wiosną 1947 roku, na wniosek Mamy, wyrokiem Sądu Ojciec został uznany za zmarłego. Latem 1947 roku Mama otrzymała rentę po Ojcu dla całej trójki dzieci. Od 1 września 1949 roku Mama dostała pracę sekretarki w szkole. Ja też wtedy dostałem pracę w księgowości... zaczęliśmy stawać na własnych nogach. Nad historią Oskara Vogta zaległa cisza. Spokój Jego Pamięci!

Andrzej Jacek Fogt vel Vogt

Przypisy

¹Tytuł opowiadania w wersji maszynopisu brzmiał: Kręte losy leśnika. (Wspomnienie o ojcu).

²Zmiana pisowni nazwiska na Fogt nastąpiła „z urzędu” w 1954 roku, na podstawie tego, że litery „V” nie ma w alfabecie polskim. Potem już tego nie „odkręcałem”(!), choć po roku 1956 można było. (AF)

³W okolicach miasteczka Plauen.

⁴Halina Vogt, żona leśniczego Oskara Vogta i matka Andrzeja Fogta (vel Vogta) zmarła 11 lutego 2006 roku w Wołominie (przyp. Redakcji).

⁵Gdy po roku 1950 zalesiony został cały obszar majątku Spławie, mur cmentarza został rozebrany, a groby znalazły się w środku lasu, obecnie leśnictwa Wydry. Były leśnik wrócił do lasu.

⁶Brat Mamy, Jan Walter, po ukończeniu później studiów w Wyższej Szkole Inżynierskiej im. Wawelberga w Warszawie, został specjalistą radiotechniki.

⁷Czyli: zdeklaruj się, że jesteś Volksdeutchem.

⁸Od redakcji: nadleśniczy Bolesław Osiński był aresztowany przez Niemców, później zwolniony z więzienia, wyjechał z Pomorza. Jego dwaj synowie – lekarz i zawodowy oficer Wojska Polskiego zostali zamordowani przez Sowieców w Katyniu. Bolesław Osiński wrócił do Szarlaty w 1945 roku i jeszcze krótko sprawował funkcję nadleśniczego, po czym odszedł na emeryturę (informacja Krystyny Zwiefka).